Nr. 5 Poznań, dnia 31 stycznia 1909 r. Rok XDI

Abonament wynosi kwartalnie na poczcie. . . 1,50 z odnoszeniem do domu . . 1,62 pod opaską . . 2,75

PRACA

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97.
Ogłoszenia: od wiersza drobnego 30 fen.

O paragraf językowy.



Zeszłego tygodnia odbyły się w parlamencie niemieckim trzydniowe rozprawy nad dwoma interpelacyami, wniesionemi przez socyalistów i Koło polskie w sprawie znanego paragrafu językowego w nowej ustawie o zebraniach i stowarzyszeniach, wykluczającego z zebrań publicznych język polski.

Swego czasu oświadczył sekretarz stanu p. v. Bethmann-Holweg w parlamencie, że zakaz ten nie ma obowiązywać na publicznych zebraniach chrześciańsko-społecznych organizacyj robotniczych. Oświadczenie to nie wystarczało naówczas wolnomyślnym. Mówca ich p. Müller z Meiningen zaznaczył, że partya jego żąda, by taksamo jak chrześciańskie związki zawodowe i Hirsz-Dunkerowcy i wogóle *wszystkie inne organizacye* robotnicze były wyjęte z pod tego paragrafu. Sekretarz stanu oświadczył w odpowiedzi, że *wszystkie* organizacye robotnicze mają być na równi traktowane z związkami chrześciańskiemi: zatem zdawało się, że i polskie związki zawodowe będą mogły używać na zebraniach publicznych języka polskiego. Co prawda Polacy, przekonawszy się do syta, co warte są przyrzeczenia ministrów, bardzo sceptycznie byli usposobieni względem orzeczenia pana Holwega. Jakoż smutna rzeczywistość pouczyła nas, że władze wykonawcze stosują się ślepo do brzmienia ustawy, ignorując w zupełności zdanie ministra. Ustawa zaś przepisuje w paragrafie 12, że językiem obrad zebrań publicznych w okolicach nie liczących 60 procent ludności innojęzycznej i nie cieszących się specyalnym w tym względzie przywilejem władzy krajowej — ma być po za czasem wyborów język niemiecki.

Na skutek tego paragrafu więc robiono Polakom najrozmaitsze trudności, gdy chodziło o publiczne zebrania i żądano, by rozprawy toczyły się po niemiecku. Nawet związki robotnicze polskie, które przecież miały — jak to wynika z odpowiedzi sekretarza stanu, danej posłowi Müllerowi — pewne w tej mierze przyrzeczenia, aż do środka niemych wieców uciec się musiały, gdyż policya na polskie rozprawy nie zezwoliła.

Poseł Brejski, który uzasadniał interpelacyę polską, mnogi w tym kierunku przytoczył materyał. Według niego błędy polegają na tem, że w ustawie nie określano ściśle pojęcia „politycznych" zebrań, wskutek czego pomimo wyroku sądu Rzeszy władze w obwodach Arnsbergu, Dyseldorfie i Monasterze wszystkie towarzystwa polskie, chociaż one nie zajmują się polityką, traktują jako polityczne na mocy paragrafu 3-go ustawy. Nawet ubiór polski, nawet sama czapka polska jest dla władz dowodem, że właściciel jej należy do towarzystwa politycznego, towarzystwa kościelne uważa się za polityczne, ponieważ mają sztandary w barwach narodowych, nawet towarzystwo loteryjne w Borbeck uznano za polityczne, ponieważ ma członków Polaków. W Kwidzynie rozpędzono Sokołów, którzy się zjechali na zjazd delegatów. Gdy przewodniczący zaprosił delegatów do swego prywatnego mieszkania wytoczono mu o to proces. Rząd pruski powinienby właściwie strzedz się takich szykan polskich towarzystw niepolitycznych, gdyż tem właśnie spowoduje, że one będą zmuszone polityką się zajmować.

Najgorzej postępują sobie władze z towarzystwami zawodowemi, robotniczemi, rolniczemi itp., które rozwiązywano z powodu rozpraw w języku polskim. Policya nie pozwala nawet na zebrania, na których ma się odbyć wykład o chorobach epidemicznych, lub o wpływie literatury niemieckiej na polską i t. p. Nawet prywatne zebrania, p. i. zebrania gości weselnych nie znajdują łaski w oczach policyi. Mówca przytacza szereg dowodów na swe twierdzenia i żąda, żeby usunięto takie szykany, sprzeciwiające się jak najwidoczniej ustawie o stowarzyszeniach. W końcu jeszcze bliżej rozwodzi się nad obchodzeniem się władz z polskiemi towarzystwami zawodowemi.

Sekretarz stanu, p. Bethmann-Hollweg, odpowiedział w przeszło całogodzinnej mowie, „dowodząc" przedewszystkiem, że polskie związki zawodowe są towarzystwami *politycznemi*, że zatem władze pruskie słusznie zastosowują do nich paragraf językowy. Dowód swój opierał na całej historyi rozwoju polskich związków zawodowych, na odezwach, przemówieniach i rezolucyach, uchwalonych na wiecach „Zjednoczenia zawodowego" i na zdaniach innych niepolskich organizacyi zawodowych o polskim związku.

Wywody sekretarza stanu zbijali znakomicie: mówca centrowy Roeren,

z Polaków książę Ferdynand Radziwiłł, jakoteż ks. prałat Stychel. Sekretarz stanu, poparty jednak energicznie przez konserwatystów, narodowych liberałów i wolnomyślnych, obstawał przy swem twierdzeniu, jakoby polskie związki robotnicze były organizacyami politycznemi i wziął w obronę politykę antypolską, jako uzasadnioną nienawiścią, rozniecaną systematycznie z polskiej strony.

Rozprawy parlamentarne oczywiście dodatnich rezultatów nie wydały, bo wobec izby blokowej wydać nie mogły; zresztą wadliwy regulamin izby, nie dopuszczający dołączania wniosków do interpelacyj, sprawia, że interpelacye donioślejszego praktycznego znaczenia wogóle nie mają.

Jedna rzecz wszakże wyłoniła się podczas tych obrad z jaskrawą dobitnością, a mianowicie kompletny upadek moralny partyj wolnomyślnych, zanik rzetelnej idei wolnościowej w stronnictwie, które wielkie ongi hasła sprowadziło do nizin nic nie znaczącego frazesu. Jeżeli już nawet taki Wojciech Traeger dał się przekonać jednostronnym wywodom ministra, naśpilkowanym tendencyjnie sporządzonemi wycinkami z gazet, cóż dopiero mówić o pośle Müllerze z Meiningen, który bez porównania więcej od tamtego tęskni do łaski rządowej i w świetle nienaturalnej konstelacyi blokowej pragnie wyhodować swą pszenicę polityczną.

Nie kto inny bowiem, jak Müller z Meiningen komentował paragraf 12-ty ustawy o zebraniach i stowarzyszeniach po danej swego czasu odpowiedzi od stołu rządowego w następujących słowach: z odpowiedzi sekretarza stanu wynika, że *cały* ruch związków zawodowych musi być *równo* traktowany, bez względu, do jakiego kierunku *politycznego* należy. Z tego wynika, że poseł wolnomyślny, gdy te słowa pisał, nie wykluczał związków robotniczych polskich z pod łagodniejszej interpretacyi paragrafu językowego. Teraz wszakże, gdy ten sam sekretarz stanu oświadczył, że dał swoje przyrzeczenie wprawdzie wszystkim obcojęzycznym stowarzyszeniom robotniczym jednakże z wyjątkiem związków zawodowych polskich — ten sam poseł Müller miał śmiałość twierdzić, że tak, a nie inaczej rozumiał ówczesne przyrzeczenie kanclerza. Poseł centrowy Roeren dosadnie wyświetlił krętactwo polityczne wolnomyślnego kazuisty i wprawił go w takie położenie, że Müller, ratując się niefortunną dyalektyką, dostał się nawet w przeciwieństwo do zapatrywań bronionego przez siebie sekretarza stanu, który akcentował polityczny według siebie charakter polskich związków zawodowych, podczas gdy p. Müller głównie narodowy pierwiastek tych związków podnosił, i dla tego żądał ich poddania pod paragraf językowy.

Każdy sprawiedliwy człowiek z bólem i politowaniem spoglądać musi na podobne upadki ongi rzetelną myślą polityczną przejętych stronnictw. Upadek ten był do przewidzenia z chwilą, gdy wolnomyślni poszli na lep blokowej polityki Bülowa. Zachowawcy i wolnomyślni w istocie swej są partyami biegunowo sobie przeciwnemi. Pomiędzy niemi może być tylko jeden stosunek: stosunek walki. Wszelkie zbliżanie się wzajemne na gruncie zasad politycznych odbyć się może tylko z poświęceniem tych zasad, w najlepszym razie ze zrezygnowaniem z ich uwydatnienia. A ponieważ konserwatyści są od wolnomyślnych bez porównania potężniejsi, patrzymy na kruszenie tych najistotniejszych podstaw ideowych nie u konserwatystów, lecz właśnie u wolnomyślnych. To zaś pociąga za sobą niebywały wzrost rozmachu hakatystycznych żywiołów i wpływów ich polityki.

Po obecnym blokowym parlamencie żadnych zmian w kierunku nam pomyślnym spodziewać się nie należy — przynajmniej tak długo, jak blok istnieje. Dopiero nowy parlament może odrobić błędy obecnego.

Lecz i to jest tylko... muzyką przyszłości!

Nie gardź przodków podaniem, owszem za ich torem,
Zbogacaj dostrzeżenia nowych przestróg wzorem,
A przez nich nauczony, ucz następne plemię.
Wprzód pasterz zliczył gwiazdy, rolnik poznał ziemię,
Niżli mędrzec oznaczył brył ognistych szlaki,
Słońce osadził, ziemi wytknął bieg trojaki.

Kajetan Koźmian.

* * *

Biedne pieśni mojej duszy,
Co się z wami stanie?
Czy was przyjmą ludzkie uszy,
I czy jakąś pierś poruszy
Śpiewne wasze granie?...

Rydel: „Biedne pieśni mojej duszy...“

* * *

Niechciejcie . . . .
Z powierzchowności sądzić o człowieku;
Nie jeden, gdy się zasłony odwiną,
Katonem w słowach—w sercu Katyliną.

J. U. Niemcewicz.

* * *



Prawo koalicyi i strejku

dla robotników rolnych.

W parlamencie przedłożyli poseł Albrecht i tow. wniosek w sprawie koalicyi robotników rolnych.

Koło polskie poparło ten wniosek przez usta p. hr. Macieja Mielżyńskiego jak najgoręcej.

Co to znaczy koalicya, wolność koalicyi? Pod pojęciem koalicyi rozumiemy złączenie się osób, mających wspólne interesy zarobkowe, celem polepszenia warunków zarobkowych.

Wolność koalicyjna oznacza prawo robotników swobodnego zgromadzania i zrzeszania się, celem ustanawiania i przeprowadzania żądań dotyczących płacy lub innych punktów kontraktu roboczego.

Pojęcie koalicyi różnem jest od pojęcia związku lub stowarzyszenia. Podczas gdy w tych obowiązują się poszczególni członkowie postępować według uchwał większości, w koalicyi panuje jednomyślność, gdyż nie przystąpi do niej, kto się na żądania większości nie godzi. Może więc koalicya powstawać doraźnie i istnieć tylko póty, póki celu zamierzonego nie osiągnie. Po większej wszakże części wyłania się z koalicyi związek ściślejszy, lepiej zorganizowany, czego nawet w interesie robotników życzyć należy.

Uzasadnienia koalicyi nikt objektywnie myślący odmówić nie może. Jak przemysłowiec lub kupiec sprzedaje swój wyrób lub towar, robotnik sprzedaje swoją pracę. Jeżeli pierwszym wolno zakładać kartele, drugim powinno być wolno zakładać koalicye. Jeżeli pracodawcom wolno zawierać umowy i stanowić o wysokości płaconego myta, powinno być wolno robotnikom zrzeszać się i jednomyślnie swoje żądania stawiać. Robotnik, jako jednostka, nie przedstawia siły wobec pracodawcy. Natomiast zrzeszony, jednomyślny robotnik jest potęgą, z którą się i kapitał liczyć musi. Prawo koalicyjne opiera się na uznaniu równouprawnienia pracobiorcy z pracodawcą i daje robotnikowi prawo współstanowienia w sprawach zarobkowych.

* * *

W Prusach otrzymali prawo koalicyi robotnicy zajęci w przemyśle i górnictwie w r. 1869. Odmówiono jednak tego prawa robotnikom zajętym w rolnictwie i leśnictwie, lubo już wów-

czas partye liberalne z ich przywódzcą Laskerem na czele walczyły o wolność koalicyjną dla całego stanu robotniczego, niestety bezowocnie. Wszelkie w tym kierunku zabiegi rozbijały się o opór rządu i partyj zachowawczych, reprezentujących w Prusach interesy rolnictwa. Uporządkowanie sprawy tej pozostawiono przyszłości.

* * *

Najpotężniejszym orężem każdej koalicyi robotniczej jest strejk. Zatem każdy rzetelny wniosek stawiony w interesie robotników musi się domagać prawa strejku. Tego prawa domaga się także wniosek Albrechta i tow. poparty przez Koło polskie.

Zdania o uprawnieniu robotników do strejku są bardzo rozmaite. Tyle jednak pewna, że strejk jest prostym wynikiem nowoczesnego systemu gospodarczego. W istocie jest on niczem innem, jak sporem o cenę, jaką pracodawca daje robotnikowi za jego towar tj. pracę.

Co prawda zawiera robotnik rolny zazwyczaj kontrakt, umawia się więc poprzednio i dobrowolnie rzekomo o cenę, jaką żąda za towar swój, tj. za pracę rąk swoich. Jednakże wątpliwości ulegać nie może, że pod względem prawnym wolna umowa nie potrzebuje *faktycznie* być wolną. Tak po jednej jak po drugiej stronie mogą zachodzić u układających się okoliczności zniewalające do zawarcia układu w pewnej formie, mimo że treść umowy nie zadowala zupełnie. Zazwyczaj robotnik, jako ekonomicznie słabszy, widzi się zniewolonym brać, co mu pracodawca ofiaruje, chociaż nie wykluczone jest, że i pracodawca może w pewnych warunkach paść ofiarą wyzysku ze strony pracobiorcy. Zdarza się to jednak chyba wyjątkowo. Natomiast robotnik w daleko wyższym stopniu zależy od dobrej woli pracodawcy. Jeżeli teraz robotnik spostrzeże, że istotnie krzywda mu się dzieje, że sprzedał swą siłę roboczą za miskę soczewicy, gdy przyjdzie do przekonania, że większa mu się cena za swą pracę należy, a pracodawca obstaje przy cenie wymówionej w kontrakcie — cóż mu pozostaje? Nasuwa mu się myśl rzucenia źle płatnej pracy i oglądania się za lepszym zarobkiem. Jednakże jakie widoki powodzenia może mieć robotnik, który sam jeden przestaje pracować celem wywalczenia lepszych warunków bytu? Żadnych. Na jego miejsce znajdzie pracodawca dziesięciu od niego biedniejszych, robotnik zaś sam zmuszony będzie zawrzeć nową umowę może mniej korzystną od zerwanej, jeżeli wogóle zajęcie znajdzie.

To rozważanie wprost narzuca myśl o strejku tj. o gremialnem złożeniu pracy. Strejk zaś jedynie jest możliwy na podstawie dobrze zorganizowanej koalicyi, ogarniającej wielkie masy robotnicze na wielkim obszarze.

* * *

Tak więc, kto myśli o strejku winien nasamprzód myśleć o koalicyi, kto zaś pracuje nad wolnością koalicyjną robotników rolnych, musi być zdecydowany dać im do ręki obosieczny miecz strejku. Koalicya bawiem nie posiadająca w odwodzie tej ultima ratio, byłaby podobną do państwa, któreby swej dyplomacyi nie poparło armią. Wykluczają n. p. strejk znane żółte związki robotnicze, lecz te organizacye z pewnością sprawy robotniczej nie rozwiążą pomyślnie.

Nie twierdzimy bynajmniej, że strejk sam w walkach zarobkowych jest nieodzowny. Wiemy zbyt dobrze, ile on nieszczęść sprowadza na samychże robotników. Jednakże przekonani jesteśmy, że tylko te koalicye robotnicze osiągną pewne polepszenie doli swych członków, które w ostateczności mają prawo i możność użycia siły strejku.

* * *

Mówca polski, popierając omawiany wniosek w parlamencie, słusznie podniósł, że przez zabezpieczenie praw robotników rolnych, usunie się dotychczasową niesprawiedliwość dającą się we znaki tak robotnikom jak pracodawcom. Zupełnie jest bowiem jasnem, że z robotnikami zorganizowanymi pracodawcy łatwiej się będą mogli porozumiewać, aniżeli z robotnikami niezorganizowanymi.

I my jesteśmy przekonani, że zadowalające uporządkowanie stosunku prawnego robotnika rolnego do pracodawcy wyjdzie na korzyść obu stron, przyczyni się bowiem do podniesienia poziomu intelektualnego i moralnego robotnika rolnego i wzmocni poczucie własnej jego godności. Z takim zaś człowiekiem stosunki są pod każdym względem łatwiejsze, praca jego intenzywniejsza i lepsza, zatem więcej warta.

Koło polskie przez poparcie rzeczywiście daleko idącego wniosku Albrechta i tow. pokazało, że uprawia politykę wybitnie ludową. Tem więcej to uznać należy, o ile wiadomo, ze w Kole zasiada znaczny poczt osób, których sprawa ta dotyczy osobiście. Zatem pewne wahanie byłoby zrozumiałe. Poparcie takiego wniosku przez samychże posiadaczów ziemskich jest aktem świadczącym o wielkiem zaufaniu, z jakiem nasze koła ziemiańskie odnoszą się do swych robotników, przedewszystkiem zaś dowodem, że żyje w ziemiaństwie naszem tradycya twórczej idei społecznej, uwydatnionej tak wzniośle w pierwszej połowie zeszłego wieku za czasów przeprowadzenia uwłaszczenia włościan.





Proces o tajne związki
przed sądem w Gliwicach

W listopadzie ubiegłego roku rozpoczął się w Gliwicach proces wytoczony „Towarzystwu katolickich mężów i młodzieńców w Biskupicach“ na Górnym Śląsku o rzekome należenie do tajnych związków.

Proces ten, jak swego czasu o tem donosiliśmy, odroczono celem przetłumaczenia na język niemiecki wszystkich protokółów Towarzystwa. Obecnie gdy tłumaczenia już dokonano, wznowiono proces, którego przebieg podajemy w skróceniu.

Oskarżonych było 34 członków Towarzystwa a broniło ich 4 obrońców.

Akt oskarżenia podtrzymuje twierdzenie, że właściwe cele Towarzystwa były tajne i polityczne, chociaż podług brzmienia statutów polityka z zebrań i posiedzeń była wykluczona.

Prokuratorya zarzuca między innemi oskarżonym, że deklamowano w Towarzystwie wiersz „O chciwości obcych“, a to się chyba odnosi do Niemców. Dalej śpiewano piosnkę „Gdzie dom jest mój“, odegrano „Jasełka“, była deklamacya na cześć Mickiewicza, zachęcano do składek na pomnik Mickiewicza w Poznaniu.

Obrońca p. adwokat Kobyliński zaznacza, że trudno jest dziś wiedzieć, czego wogóle policya zabrania, bo gdy kolega jego dr. Różański zwrócił się do policyi poznańskiej z prośbą o spis wszelkich zakazanych piosnek, wierszy itp. otrzymał odpowiedź, że osobom prywatnym takich spisów się nie daje. Dlatego też nikt już dziś nie wie, co wolno o co nie wolno.

Przewodniczący powołuje obrońcę do porządku i zaznacza, że w Niemczech dzieje się wszystko według porządku.

Następnie zapytuje przewodniczący oskarżonych o treść „Papugi i wróbla“.

Możnaby przypuszczać, że papuga — to lud polski, który się musi uczyć po niemiecku, a wróbel — to wolny Niemiec, który świergotać może swobodnie.

Obrońca p. adwokat dr. Różański o-

świadcza na to, że wiersz „Papuga i wróbel“ napisał biskup Krasicki, przyjaciel króla pruskiego Fryderyka II.

Przewodniczący podnosi jako moment obciążający oskarżonych, że członkowie uchwalili wziąć udział w Złocie Sokołów w Dziedzicach, jak również i to, że chcieli policyi wytoczyć proces, którego przeprowadzenie powierzyli „Straży“.

Po przesłuchaniu oskarżonych, rozpoczęły się zeznania świadków.

Głównym świadkiem prokuratoryi był znany agent policyi Pietzonke, który pod przybranem nazwiskiem „Kowalski“ wkręcił się do towarzystw polskich i tam je szpiegował. Świadka tego pozostawiono na razie niezaprzysiężonym. Aczkolwiek czyny jego są niejednokrotnie karygodne i świadek sam siebie często obwinia przez swe zeznania, jednak spokojnie zeznaje, jakoby czuł, że pruska ojczyzna osłoni go za to, że ratował ją przed strasznem niebezpieczeństwem. A więc do Towarzystwa wkręcił się jako członek podczas jakiejś zabawy w Rudzie. Przedstawił się wtenczas jako górnik Kowalski, miał orzełka polskiego i udawał bardzo dzielnego Polaka. Innych członków Towarzystwa nawet zapytywał czemu oni nie noszą takich orzełków. Nic więc dziwnego, że takiego człowieka obdarzono zaufaniem, szczególnie jeszcze gdy tenże własnoręcznie swego orzełka zatknął w krawacie oskarżonego Fili. Temu świadek Pietzonke przed sądem zaprzeczał, lecz kilku oskarżonych stanowczo obstawało przy swem twierdzeniu. Ze swych spostrzeżeń formułował Pietzonke „berychty“ i posyłał je swojej przełożonej władzy. I tak w jednym „berychcie“ donosił, że członkowie witają się okrzykiem „Czołem.“ Tymczasem przed sądem wykazuje się, że to on sam w Towarzystwie zaprowadził ten zwyczaj, czemu też świadek nie zaprzecza wcale. Dalej donosił, że w Rudzie trzy towarzystwa starają się o odbudowanie Polski. Obrońca p. adwokat Wolny jednak udowadnia, że w ogólności polskie towarzystwa były tam tylko dwa. Na to świadek Pietzonke powołuje się na swój „berycht“, a jeżeli tam mowa o trzech towarzystwach, to też trzy musiały być. Natomiast co do tego, w jaki sposób pracują nad odbudowaniem Polski, nie umiał dać odpowiedzi. Obrońca p. dr. Różański zapytuje świadka P., czy wie, że przez podanie fałszywego nazwiska w spisie członków Towarzystwa dopuścił się sfałszowania dokumentów, lecz przewodniczący zaznacza, że na to pytanie odpowiadać nie potrzebuje, jeżeli nie chce siebie samego obwinić. Wobec tego oświadcza obrońca p. dr. Różański: My wiemy dobrze, że i prokurator i nadprokurator odrzucili wnioski o ukaranie go, a to dla tego, że miał za mało inteligencyi, aby czyny swoje jako szpieg Towarzystwa uznał za karygodne. Nie przeszkadzało to jednak, aby na jego „berychtach“ oparto oskarżenie.

W innym „berychcie“ świadek doniósł, że na jednem posiedzeniu uchwalono zebrania ogłaszać także w pismach niemieckich, rzekomo dlatego, aby władzom zamydlić oczy co do właściwego charakteru Towarzystwa. Temu stanowczo zaprzeczają oskarżeni; na żadnem zebraniu nie dysputowano nad podobną kwestyą, natomiast kilkakrotnie pojawiły się w pismach niemieckich ogłoszenia bez wiedzy zarządu. Raz nawet było w pismach niemieckich ogłoszenie, że w Rudzie odbędą się ćwiczenia „Sokoła“, którego tam wcale niema.

Oberżysta p. Stefański, dzierżawca oberży p. Haburty w Rudzie, zeznał, że do niego przybył Pietzonke, spijał wiele, mianowicie sznapsy i przyrzekał mu nagrodę, gdyby doniósł coś, mianowicie o schadzkach Sokołów zaborskich itp. Pietzonke nie bardzo chciał się przyznać do tej obiecanej nagrody, ale mu to p. Stefański wszystko w oczy powtórzył. Wobec tego przewodniczący sądu przymawiał Pietzonkiemu, żeby się przyznał, skoro powiedział.

W końcu Pietzonkę zaprzysiężono.

Prokurator, który nawet potępił postępowanie Pietzonkiego, stawił następujące wnioski: Za przestępstwo § 128 mają zostać ukarani: Filla, Gorzałka, Moj i Witka Idzi 3 miesiącami, Morciniec, Florek, Kandzior, Ociepka, Wodarski, Szynklewski, Zwak, Cygan, Wybraniec, Szmatloch, Kaiser, Joszko, Witka Józef i Cyganek Franc. na 6 tygodni, Czukaja Piotr i Tomasz, Adamczyk, Rodon, Hałupka, Kasprzak na 1 miesiąc.

Obrońcy bardzo dobrze mówili; zapowiedzieli, że zaskarżą policyanta Pietzonkego o fałszywą przysięgę, aby on zasiadał na tej ławie oskarżonych, na którą sprowadził swojemi donosami 34 dobrych, porządnych ludzi, obywateli.

Sąd po blisko 5-godzinnych naradach ogłosił wyrok następujący: 22 oskarżonych zawiniło według § 128, to jest chciało zataić cel Towarzystwa przed rządem. Skazani są: Filla, Gorzałka, Moj i Zwak na 6 tygodni, Witka Idzi na 5 tygodni, Morciniec, Florek, Ludwik Kandzior, Wodarski, Szynklewski, Cygan, Witka Józef i Cyganek Franciszek na miesiąc, Ociepka, Rodon, Wybraniec, Joszko na tydzień, Kaiser i Adamczyk na 5 dni. Hałupka i Strzoda na 3 dni więzienia. — Uwolnieni: Kasprzak, Weingart, Gruszka, Dras, Burek, Smoczek, Kandzior, Cyganek II, Czukaja Piotr i Tomasz, Drzyzga, Muszala Alojzy i Szmatloch.

Sąd również potępił postępowanie Pietzonkego.



Kontrakty kijowskie.

I.

Słynny jarmark kijowski, czyli tak zwane „kontrakty,“ odbywające się dorocznie w miesiącu lutym, liczy obecnie 111 lat istnienia i w porozbiorowych dziejach naszych na ukrainnych kresach jeszcze do ostatnich niemal lat ubiegłego stulecia odgrywał rolę wybitną i poważną.

„Kontrakty“ kijowskie są następcą i do pewnego stopnia spadkobiercą niemniej słynnych ongi kontraktów dubieńskich, które po ostatnim rozbiorze Polski, dokonanym na mocy traktatów z dnia 3-go stycznia i 24-go października 1795 r., straciły swoje znaczenie wskutek odcięcia do Austryi znacznej połaci kraju, której interesy koncentrowały się dotychczas w Dubnie.

We dwa lata później mieszkańcy Kijowa, mając na oczach przykład olbrzymiego znaczenia dla wzrostu i bogactwa miasta kontraktów, zanoszą na Najwyższe Imię prośbę o przeniesienie jarmarku z Dubna do Kijowa i już w dniu 27-go września 1797 panujący podówczas cesarz Paweł I. wydaje ukaz imienny senatowi, głoszący, że kontrakty, które od 1774 r. odbywały się w Dubnie, „uznaliśmy za słuszne dla korzyści i dogodności zewnętrznego handlu przeprowadzić do Kijowa.“ Ukaz powyższy natychmiast został wykonany, tak, że dnia 15-go stycznia 1798 r. za rządów kijowskiego generał-gubernatora Aleksandra Bekleszowa, w dolnej części miasta, t. zw. Padole otwarte zostały uroczyście, z nabożeństwem i procesyą pierwsze kontrakty kijowskie.

Ciekawem jest wydane bezzwłocznie po ukazie rozporządzenie senatu, określające zewnętrzną formę stosunków czynności kontraktowych. „Dla wzmocnienia — głosi ono — wzajemnego pomiędzy zbierającymi się na te kontrakty zaufania, przy zawieraniu jakichkolwiek ugód i umów, każdy właściciel ziemski obowiązany jest wykazać się świadectwem od Najwyższej władzy tej gubernii, gdzie się znajduje jego majątek, na zasadzie urządzenia o bankach z dnia 28-go czer-

wca 1786 roku, podług ustanowionej w 12 punkcie formy, że majątek ów nie jest w zastawie i nie znajduje się pod protestem.

A o przyczynach przeniesienia kontraktów z pogranicznego Dubna senator Wigel, który w końcu XVIII. wieku spędzał dziecinne swe lata w Kijowie i niejednokrotnie potem tam bywał, tak pisze w swoich pamiętnikach: „Tu nasuwa się znowu pytanie, w jakim celu? czy nie w celu zbliżenia Polaków z Rosyanami? Lecz, jak podczas tego panowania wszystko robiło się bez celu, a jedynie tylko dla zachcianek, tak i w tym wypadku trudno będzie odpowiadać na to pytanie."

Czy istotnie taki cel istniał, przesądzać dziś trudno, w każdym jednak razie skonstatować można, że z przeniesieniem kontraktów nastąpiła znaczna zmiana nietylko w zewnętrznym wyglądzie miasta, lecz i w składzie jego ludności. Od roku 1798 ruch zapanował w mieście stosunkowo ogromny. Szlachta z ościennych gubernii — Wołynia, Ukrainy, Podola, Czernihowskiej i Połtawskiej, a nawet z Litwy ściąga tu rokrocznie dla sprzedaży i zakupu posiadłości ziemskich i różnego rodzaju towarów, dla zawierania zobowiązań i umów na dostawę zboża, lasów, wódki, cukru etc., a jednocześnie, aby zastawiać majątki, opłacać długi, pożyczać pieniądze u bankierów, lub szukać miejsca rządzców, geometrów, adwokatów, lekarzy itp.

To też podczas gdy do przeniesienia kontraktów — pisze pan Ułaszyn („Kontr. Kijow.") — szlachta polska zamieszkiwała Kijów, w bardzo nieznacznej ilości, a klasa urzędnicza składała się przeważnie ze szlachty małoruskiej, pochodzącej z „lewobrzeżnej" Małorosyi, która wchodziła w skład namiestnictwa kijowskiego, od roku 1797, t. j. po utworzeniu gubernii kijowskiej z ziem oderwanych od Polski, szlachta polska zaczęła zjeżdżać się do Kijowa na wybory, a następnie po przeniesieniu kontraktów z Dubna znaczna jej ilość zamieszkuje w tem mieście.

Senator Wigel, pisze w swoich pamiętnikach, że starożytna stolica wielkich książąt ruskich, nawet przy polskim rządzie zachowująca swoją nienaruszalność ze strony politycznego wpływu Polski raptownie się spolszczyła. Senator Wigel dodaje, „że Polacy, pełniący swe obowiązki pochodzące z wyborów, przemieszkiwali w Kijowie wraz z rodzinami tylko w przeciągu dwu miesięcy co roku podczas kontraktów."

To też i kontrakty w pierwszej ćwierci ubiegłego stulecia miały charakter wyłącznie polski.

Wraz z przeniesieniem kontraktów podążają do Kijowa za szlachtą i kupcy i gdy w roku 1797 stolica Rusi miała zaledwo 15,000 ludności, cyfra ta już w roku 1800 podnosi się do 30,000, dobrostan miasta szybko wzrasta, ruch handlowy rośnie i odgrywa coraz wybitniejszą rolę w gospodarczem życiu kraju.

Życie kontraktowe do połowy ubiegłego stulecia koncentrowało się głównie w tak zwanym domu kontraktowym na Padole, zbudowanym około roku 1830 na miejscu dawnego, który się spalił w lipcu 1811 roku. Na kolumnach, na których spoczywa fronton, na ścianach przy wejściu do sieni i wewnątrz sieni, skąd schody prowadzą na górę, naklejali kupcy, aferzyści i wogóle osoby interesowane mnóstwo ogłoszeń. Dolne piętro zajmowali kupcy ze swemi towarami. Na górnem piętrze ustawiano również towar z obydwóch stron wzdłuż okien, środek zaś stanowił właściwą salę kontraktową, w tej bowiem sali obradowali kontraktowicze, tu wieczorami dawali artyści koncerty, tu się odbywały loterye na cele dobroczynne.

Również wszelkie akta, umowy i tranzakcye zawierane były w tak zwanej izbie kontraktowej, mieszczącej się na piętrze powyższego domu.

„Wprawny szlachcic kontraktowy — pisze Jełowicki w swoich wspomnieniach — rozumie tę izbę, jak Francuzi giełdę; wejdzie raz pierwszy, a po liczbie, po gwarze, po twarzach pozna zaraz, czy dobre kontrakty, t. j. czy dużo pieniędzy, czy drogie dobra, czy jest kupiec na zboże i wódkę."

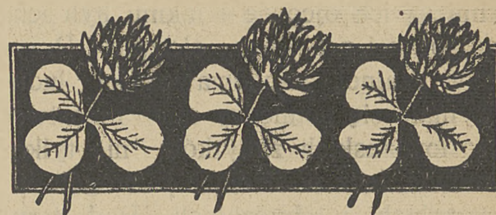
W końcu owej izby, przy drzwiach, wiodących do izb sądowych, do roku 1840 t. j. do czasu, gdy statut litewski był tutaj obowiązujący, co wieczór stawał woźny i wykrzykiwał kto komu w dniu dzisiejszym pomimo wyroku nie zapłacił. Po roku 1840 zawieranie umów odbywało się już w tak zwanej „Graždanskiej Pałacie" (Izbie cywilnej), a całe górne piętro kontraktowego domu oddane było kupcom.

Początkowo handel zbożem i kupno oraz sprzedaż majątków zajmowały poważną część tranzakcyi dokonywanych w czasie kontraktów, a potem pierwsze miejsce zajęło cukrownictwo, które przetrwawszy świetne i złe czasy „kontraktów" i dzisiaj, gdy zmienione gospodarczo-społeczne warunki kraju pozbawiły kontrakty ich pierwotnego znaczenia, wciąż się utrzymują na pierwszem i dominującem na jarmarku kijowskim stanowisku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ludzie po śmierci są jak książki: przeczytawszy je całe, znajdziemy w końcu omyłki drukarskie.

Alojzy Żółkowski.



G. Smólski.

Z podróży po Słowaczyźnie węgierskiej.

III.

Po tem co widzę i słyszę, wszędzie na Słowaczyznie Madziarzy ciemiężą lud słowacki okropnie. Żadnych szkół słowackich, najbezwzględniejsza madziarszczyzna we wszystkich urzędach. Prywatne szkoły słowackie wzbronione a gmach „Macierzy słowackiej" w Turczańskim Świętym Marcinie wraz z 200000 koron funduszu zakładowego zabrał rząd madziarski. Posłowie słowaccy: ksiądz Jurega i Iwanka, najszlachetniejsi obrońcy ludu srodze uciskanego, jak ks. Hlenka, siedzą w więzieniu. Upominanie się o prawa języka ludowego poczytuje rząd węgierski za agitacyę wielkopolską — przepraszam: za „panslawską" i uznaje te żądania za knowania przeciwpaństwowe — jednem słowem zupełnie tak, jak u was, z jedną tylko różnicą niemałą, że kultura madziarska nie zdobyła się na to, czego dokonała kultura niemiecka tj. nie zdobyła się na wywłaszczenie prywatnej własności i zakaz używania języka rodzinnego na zebraniach i zgromadzeniach i że tu wozów Drzymały nie widać.

Biedni Słowacy są nam pod względem ucisku także najbliżsi.

Mimo najsroższej madziaryzacyi i braku oświaty narodowej nie poczyniła madziaryzacya szczerbów w ludności słowackiej. Ziemie słowackie, jak były, pozostały też rdzennie słowackie w zwartej masie, tylko miastom zdołano przy pomocy dość licznie rozsiadłego żydostwa nadać pokost madziarski. Lud słowacki pracowity, oszczędny lgnie całą duszą do swojszczyzny i jest niezmiernie zachowawczy co do swej gwary i swoich starych zwyczajów i obyczajów. Życie rodzinne wzorowe. Ojciec głowa rodziny, do niego lgną miłością i uszanowaniem wszyscy jej członkowie. Dziedzina (wieś) słowacka tworzy w szerszem słowa znaczeniu rodzinę, gdyż jej mieszkańcy są w większej części z sobą spokrewnieni i spowinowaceni, skomotrowani, między sobą ściśle zwarci tak, że madziarszczyzna mimo wszystkiego do dziedziny wcisnąć się nie może, na której łonie dzieci opuściwszy szkołę, gdzie ich madziarszczyzną ogłupiano, wkrótce ją zupełnie zapominają i pozostają rdzennymi Słowakami,

jakimi są ich ojcowie i jakimi byli ich praojcowie i pra... pra.. ojcowie. Przy nadzwyczajnej zachowawczości ludu utrzymało się pomiędzy nim mnóstwo starosłowiańskich zabytków nie tylko w mowie, lecz w strojach i wogóle w zwyczajach i obyczajach. Pod tym względem należy się Słowakom pierwszeństwo pomiędzy wszystkimi ludami słowiańskimi. Jakkolwiek rodzina i dziedzina słowacka przedstawia się jako twierdza niezdobyta dla madziarszczyzny, to przecie w szczególności madziarskie szkoły średnie pochłaniają pewną część młodzieży słowackiej robiąc z niej tak zwanych madziaronów, którzy dla karyery przechodzą do obozu madziarskiego i dostają się tym sposobem na posady rządowe, które dla Słowaka narodowego są zupełnie niedostępne. Jednak ubytek ten oddziaływa ujemnie tylko o tyle, iż ludowi słowackiemu brak inteligencyi. Z pewnością znaczy to bardzo wiele i tamuje niezmiernie rozwój narodowy, lecz liczebnie nie posiada doniosłości wobec nadzwyczajnej siły rozrodczej ludu słowackiego.

Słowacy tworzą w 15 północno-wschodnich komitatach (hrabstwach) Węgier zwartą masę ludności, z których 4 (Treńczyn, Orawa, Zwolen i Liptow) posiadają czysto słowacko-polską ludność, zaś 9 komitatów (turczański, tekowski (Barsch), nitrzański, koncki, giemerski, spiski, szaroski, zemuński i aboski) wykazują znaczną większość. Tylko w 2 z tych komitatów (preszburskim i nowogrodzkim) tworzą Słowacy mniejszość. Nadto osady ich rozrzucone są, miejscami w znaczniejszej liczbie, prawie po całych Węgrzech tak, iż poza swojem zwartem terytoryum wynosi ludność słowacka 26—50 proc. w komitatach: bekeskim i ungwarskim, a 5 do 25 proc. w komitatach: komorniańskim, ostrzychomskim, budapeszteńskim, beharskim i ungwarskim. Liczba ogólna ludu słowackiego wynosi 3 miliony na Węgrzech, 800000 na morawskiej Słowaczy i 500000 wychodźców słowackich w Ameryce północnej, razem 4,300.000 dusz. Z Słowaczyzną graniczy tak zwana Ruś zakarpacka, wchodząc w nią w kilku komitatach granicznych. Liczbę Rusinów albo „Rusniaków" podają na 500.000. Jest to lud bardzo ubogi i ciężko ciemiężony.

Z Rudki odgałęzia się kolej do Turczańskiego Świętego Marcina, stolicy słowackiej, albo raczej głównego ogniska duchowego życia Słowaków. Jest to mieścina z przyziemnemi domami w ogrodach, wśród których sterczą dwie wieże kościelne i kilka większych piętrowych gmachów, jak dom „Macierzy słowackiej", gmach słowackiego gimnazyum, dom narodowy, słowackie muzeum, dom spółki wydawniczej i dom banku słowackiego „Tatra". Dom „Macierzy" i gimnazyalny skonfiskował rząd madziarski. W pierwszym pomieścił swoje urzędy, w drugim gimnazyum madziarskie. Reszta gmachów narodowych pozostała własnością ludową dzięki obronie adwokackiej, która je ocaliła, mianowicie okoliczność, iż wszyscy udziałowcy po 50 koron — domy narodowe zbudowano w drodze składek — zapisali się w miejskiej księdze gruntowej jako współwłaściciele a ponieważ kultura madziarska nie narusza, jak kultura niemiecka, prywatnej własności — więc tym sposobem biedni Słowacy nie postradali swej własności.



Stroje niewiast słowackich z komitatu turczańskiego.



Chłopcy słowaccy w drodze do szkoły madziarskiej.

Zdziwiło mnie tylko, iż na domu muzealnym znajduje się napis „Muzeum" bez żadnego dodatku a na domu narodowym podobny napis „Dom". Objaśniono mnie, iż rząd nie pozwolił na dodatek „słowacki" lub „narodowy". Muzeum nadzwyczaj zajmujące szczególnie pod względem ludopisnym. Posiada z tego działu zdumiewające bogactwo okazów. Napisy wszędzie obok słowackich, także węgierskie, inaczej rząd nie chciał dać pozwolenia na jego otwarcie. W domu narodowym znajduje się hotel bez prawa wyszynku, którego rząd odmówił. Tym sposobem dzierżawcą hotelu jest żyd, który jedynie przy tem ograniczeniu może sobie dać radę, używając w zarządzie swego interesu języka madziarskiego, przez co zaskarbia sobie względy małych baszów komitatowych. Hotel więc w domu narodowym jest madziarski, choć w całem miasteczku niema Madziarów z wyjątkiem kilkunastu urzędników i garstki Madziarów słowackich i żydowskich. Wygląda to na smutną satyrę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Listy od przyjaciół.

Korespondencya z Londynu.

Gwiazdka Szkółki polskiej w Londynie.

I tym razem jak zwykle zawitała Gwiazdka pod strzechę Szkółki naszej w Londynie i zgromadziła dziatwę polską na sali szkólnej ku wspólnej zabawie. — Już o 4-tej po południu w niedzielę, dnia 17-go stycznia, mali uczestnicy zaczęli zapełniać Szkółkę pod num. 2 i 4 Patriot Square, Cambridge Road N. E. — gdzie ich oczekiwała już dawno zastawiona i przygotowana herbata i t. d.

Z powodu braku miejsca kilkadziesiąt malców zasiadło wprzód stoły, a po nich dopiero starsze dzieci, które z chęcią ustąpiły pierwszeństwa młodszym.

Gwiazdka równie każde dziecko obdarzyła skromnym podarkiem: małe pokolenie zabawkami, starsze czemś pożytecznem.

Wreszcie na głos dzwonka kurtyna sceny na salce szkólnej się podniosła i dzieci nasze polskie w malowniczych i odpowiednich strojach zaczynają przedstawienie *Jasełek.*

I oto żłóbek i aniołowie o złotych skrzydłach — i Matka Boska i św. Józef i pasterze i królowie i t. d. i t. d. zapełniają scenę i deklamują i śpiewają kolędy pięknym naszym językiem, lepiej trudno się od nich już było spodziewać. Niejedno z nich tu na ob-

czyźnie urodzone z trudnością wyraża się po polsku, a są i takie, które tylko mówią po angielsku. Rodzice z przyjemnością przypatrywali i przysłuchiwali się dzieciom na scenie, a i w muzyce popisywały się dzieci.

Wszystkim się podobały skromne nasze *Jasełki* i czuli wdzięczność i uznanie dla tej rodaczki, która poniosła trudy i urządziła rozrywkę dla rodaków tu na obczyźnie.

Oby im to poszło na pożytek i było rozrywką po ciężkiej ich pracy.

M. W.

Londyn, d. 23-go stycznia 1909.



Z żałobnej karty.

Ś. p.
książę Zdzisław Czartoryski.

Wieść o zgonie śp. ks. Zdzisława Czartoryskiego żałobnem echem rozbrzmiewa nietylko na wielkopolskiej ziemi, lecz na całym obszarze starej Polski. Umarł bowiem członek wielkiej rodziny historycznej, która w dziejach naszych od wieków wielką odgrywała rolę, a w ostatnich czasach przed- i porozbiorowej Polski kroczyła na czele nieszczęśliwego narodu, zawsze służąc wielkiej sprawie naszej, którą ukochała, za którą cierpiała i której składała w ofierze swe szerokie w świecie wpływy, swą pracę, swój zapał, płonący wiarą niespożytą w niezniszczalnego ducha narodu i jego prawa do bytu.

Rodzina ta wydała szereg wielkich matron i wzniosłych mężów. Wyniesiona do najwyższych w kraju godności, głową i sercem wywdzięczała się narodowi, służąc krajowi według sił, zostawiając potomności przykład prawdziwie obywatelskiego żywota.

Wielkie tradycye Czartoryskich w zmienionych warunkach uwydatniał zmarły — zawcześnie niestety — ks. Zdzisław. Był to typ prawdziwie wielkiego pana, mąż wielkiego serca i wielkiego rozumu, charakter wzniosły, człowiek obdarzony mnóstwem zalet, które mu jednały serca wszystkich, którzy mieli szczęście zbliżyć się do niego.

Ś. p. Zdzisław Aleksander Tytus, książę na Klewaniu i Żukowie, Czartoryski, urodził się 4 stycznia 1859 r. z ojca ks. Adama Konstantego i drugiej jego żony, Elżbiety z hr. Działyńskich, córki hr. Tytusa i Celiny z hr. Zamoyskich. Po ukończeniu nauk podróżował przez czas dłuższy, poczem poślubił we Wiedniu 18 lutego 1884 Maryę Helenę Zaleską, córkę śp. Aleksandra i Martyny z Grabianków Zaleskich z Ostopkawiec na Podolu.



† **Książę Zdzisław Czartoryski.**
Fot „Atelier Rubens", Poznań.

Wcześnie imał się śp. książę Zdzisław społecznej, politycznej i oświatowej pracy. Był przez pewien czas posłem, przez siedem lat stał na czele Towarzystwa Czytelni Ludowych, około rozwoju którego wielkie położył zasługi. Znakomity mówca i esteta także na niwie literackiej próbował swych sił, wydając r. 1887 swe „Listy z podróży do Włoch" i zasilając czasopisma polskie wytwornemi płodami swego pióra.

Dominującym rysem jego charakteru była dobroć. Z niej to wynikała jego rzadka zaiste popularność, łatwość w obcowaniu z ludźmi i wpływ, jaki na nich wywierał. Szczodrość iście wielkopańska zmarłego księcia znaną była powszechnie i szczególnie rozrzutna, gdy chodziło o sprawy narodowe.

Umarł zaiste mąż niepospolity, wierny syn ojczyzny, gorący przyjaciel ludu polskiego.

Niech odpoczywa w spokoju wiecznym!

* * *

Ś. p.
ordynat Adam hr. Krasiński.

Bolesny cios spotkał starodawny a dobrze w Polsce zasłużony ród hr. Krasińskich. Dnia 17 stycznia rb. w Ospedaletti na Riwierze włoskiej (pomiędzy San Remo a Bordigherą), zmarł, po 2 letnich cierpieniach, które od pół roku przybrały charakter ostry, na nieuleczalną chorobę nerek, śp. ordynat Adam hr. Krasiński w 38 roku życia, a zmarł bezpotomnie.

Tym sposobem linia znakomitego poety i głębokiego myśliciela, Zygmunta Krasińskiego, którego zmarły ordynat był wnukiem, wygasła w ostatnim jego męskim potomku.

Dziad zmarłego ordynata, Zygmunt (ur. 1812 um. 1859, syn generała Wincentego), ożeniony z hr. Elżbietą z Branickich (sec. voto za śp. Ludwikiem hr Krasińskim), pozostawił dwóch synów: Władysława i Zygmunta. Obadwaj zmarli w młodym wieku na suchoty. Zygmunt bezżennie, a Władysław (ur. 1844 um. 1873), ożeniony z Maryą hr. Potocką, córką hr. Adama z Krzeszowic (obecnie Edwardową hr. Raczyńską), pozostawił jedynego syna, obecnie zmarłego bezpotomnie hr. Adama (ur. 1870), ordynata na Opinogórze, ożenionego od lat kilku z Maryą hr. Badeniówną, córką Kazimierza, b. prezesa ministrów austryackich, dawniej namiestnika Galicyi itd.

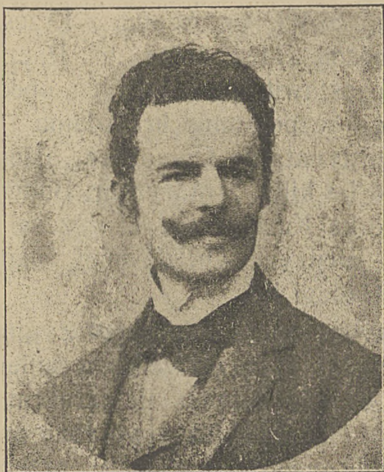
Nietylko zatem linia poety Zygmunta wygasła z przedwczesną śmiercią wnuka jego śp. Adama, ale zarazem ordynacya Opinogórska, utworzona przez gen. Wincentego, ojca poety, przechodzi na linię boczną Józefa hr. Krasińskiego (syna Adama i Karoliny z hr. Mycielskich), właściciela Radziejowic w gub. warszawskiej. Hr. Józef Krasiński (ożeniony z hr. Heleną ze Stadnickich), obecny ordynat, jest od lat kilku sparaliżowany. Dziedzicem ordynacyi będzie syn jego Edward, lat 37, dotąd bezżenny. Jak mówią, projektowanem jest małżeństwo jego z hrabianką Branicką, córką hr. Ksawerego z Wilanowa.

Ordynacya hr. Krasińskich na Opinogórze (gubernia płocka), jest z trzech ordynacyi w Królestwie Polskiem najmniejszą. Dwie większe od niej są: ordynacya hr. Zamojskich, do której należy przeszło 600 tysięcy mórg, „Błękitny pałac" z licznym kompleksem domów dochodowych w Warszawie, itd., oraz ordynacya Myszkowska margr. Wielopolskich. Do ordynacyi hr. Krasińskich należy tylko około 16000 mórg i zawartość biblioteki w Warszawie. Inne dobra śp. ordynata, jak Knyszyn (miejsce śmierci Zygmunta Augusta) i Goniądz na Litwie, oraz wielki pałac w Warszawie (dożywotnia własność hr. Maryi Raczyńskiej) są wprawdzie rodzinną własnością prywatną, nie należą jednak do ordynacyi, a więc nie przechodzą wprost na nowego ordynata.

Od kilku tygodni zwątpiono już w możność przedłużenia życia ostatniego potomka wielkiego poety. U łoża konającego zgromadziła się najbliższa rodzina, a więc matka jego hr. Marya Raczyńska, żona, ciotka hr. Anna Ksawerowa Branicka, przyjaciel August hr. Cieszkowski i kilku innych. Zwłoki pozostaną tymczasem w pobliskiem San Remo, poczem przewiezione zostaną

wprost do grobu rodzinnego w Opinogórze, gdzie niedawno sumptem nieboszczyka stanął piękny pomnik dziada jego Zygmunta, wykonany przez Romana Lewandowskiego, utalentowanego artystę-rzeźbiarza, zamieszkałego stale w Wiedniu.

Zmarły był jednym z wykształceńszych i światlejszych przedstawicieli arystokracyi naszej. Szkoły kończył w Krakowie, doktoryzował się na wydziale prawnym w Heidelbergu. Przechowywał też we wdzięcznem sercu kult dla pamięci nieśmiertelnego dziada swego, którego dzieła nieznane, korespondencye itd. wydawał, pracując nad tem z zaufanym swym przyjacielem Kallenbachem, dawniej bibliotekarzem ordynacyi, obecnie profesorem wszechnicy lwowskiej. Utwory te objaśniał przemowami własnego pióra, sam bowiem władał pięknym językiem i napisał też pod pseudonimem Jana Przysieckiego kilka wzniosłych utworów poetyckich, drukowanych przeważnie, wraz z innemi pracami, w „Bibliotece Warszawskiej“, której był redaktorem i protektorem.



† **Adam hr. Krasiński.**

Ostatnie lata „wrzenia i rewolucyi“ pociągnęły go również na drogę polityczną. Założył Towarzystwo „Spójnia“, którego organem być miała początkowo „Gazeta Polska“, był prezesem rady nadzorczej Polskiej Macierzy szkolnej, aż do chwili jej zamknięcia, a nadto brał czynny udział w sprawach i stowarzyszeniach rolniczych swej rodzimej ziemi płockiej — itd. itd. Ale niepewny ustrój naszych stronnictw politycznych i wogóle chwiejne oznaki naszej polityki oddziałały także na opinię zmarłego w sposób zmienny. Początkowo zarysował się silnie w szeregach stronnictwa umiarkowanego, podpisawszy pamiętny *„Adres dwudziestu trzech“*, z którego później się wycofał, skłaniając się ku stronnictwu narodowemu, zwróciwszy się w ostatnim czasie znów bardziej na prawo.

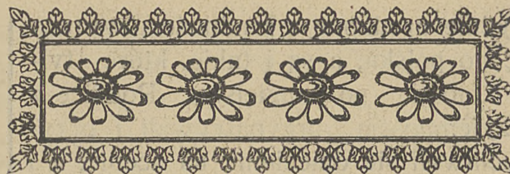
W każdym razie w zmarłym traci nie tylko najbliższa rodzina swą głowę, ale i społeczeństwo gorącego a światłego i rozumnego obywatela, który przy bardziej sprzyjających warunkach zdawał się być wybranym do wybitnego stanowiska, jakie mu się ze wszech miar i względów należało.

Ach tam, gdzie pierwsza witała mnie zorza,
Gdzie tyle w życiu dosłyszałem gwaru,
Przez te zastygłe i umarłe morza,
Wrócę do uczuć młodzieńczych pożaru;
Po kwiat się jeden schylę nad łez wodą,
A może znajdę swoją duszę młodą.

A. Asnyk: „Fragment.“

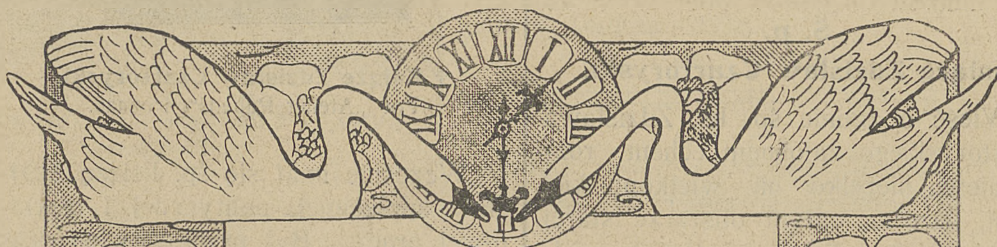
Żaden przewidziany obowiązek jutrzejszy, choćby najwyższy, nie uwalnia człowieka od spełnienia dzisiejszego, choćby najmniejszego.

Karol Różycki.



Setna rocznica urodzin największego poety Ameryki.

Dnia 19-go b. m. upłynęło równe sto lat od chwili, gdy ujrzał światło dzienne największy poeta Ameryki, Edgar Allan Poe. Pochodził on ze starej rodziny irlandzkiej, osiadłej dawno w Stanach Zjednoczonych. Dziadek Edgara brał udział w wielkich wojnach rewolucyjnych i doszedł do stopnia generała. Ojciec i matka byli aktorami. Po ich śmierci zajął się losem Edgara przyjaciel jego rodziców, niejaki mr. Allan, który ubóstwiał swego wycho-



Nieszczęśliwym.

Choć mową obcych, ale bliskich wiarą,
Zalanych żywcem pianą morskich fal,
Was, coście wstrząśnień stali się ofiarą,
Was wszystkich żal nam, tak serdecznie żal.

Żal tych, co żywcem wśród strasznych katuszy
Ziemia wchłonęła, jak w otwarty grób,
Co z piętnem grzechu w przerażonej duszy
Na sąd, do Bożych musieli iść stóp.

Żal tych, co płaczą najbliższej rodziny,
Tych, co z dobytku odarł straszny los,
Co się tułają wśród smutków ruiny,
Z boleścią patrząc na rumowisk stos.

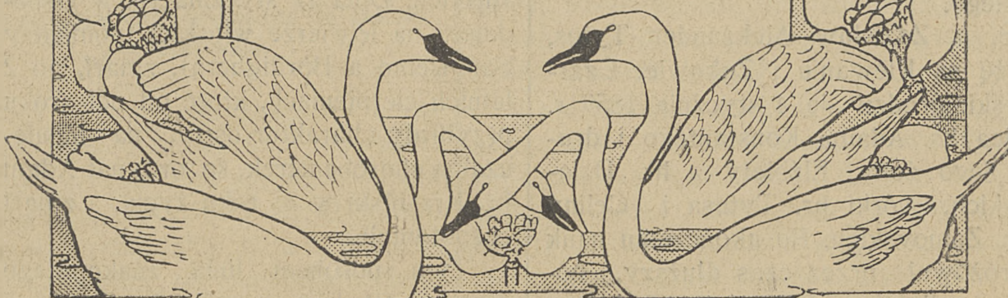
I żal nam ciebie, ty cudna kraino,
Którą Bóg barwił najpiękniejszą z kras,
Żal ciebie, miasto, prastara Messyno
I żal serdecznie żal nam wszystkich was.

My, naród biedny, więc skromna ofiara
Popłynie od nas tam, w słoneczną dal,
Wspomóż was Boże i niech święta wiara
Ukoi ból wasz i wasz krwawy żal.

Niech wiara z ruin podźwignie świątynie,
Niech się odnowi w waszem ciele duch,
Grzech, co was kalał na zawsze niech zginie,
Niech wszelki o nim przebrzmi nawet słuch.

I wy, którzyście przy życiu zostali,
Nie zbłądźcie nigdy z prawych cnoty dróg,
Od wstrząśnień ziemi i od morskiej fali
Niech was ustrzeże miłosierny Bóg!

Paula Wężyk.



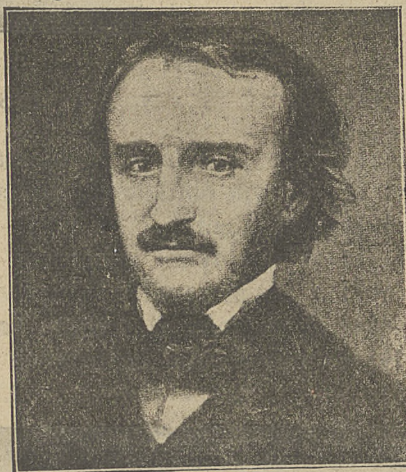
wanka i wkrótce zrobił z niego „cudowne dziecko,“ co młodemu poecie tylko na złe wyszło. Sam Poe tak opowiada o sobie: „Jestem potomkiem ludzi, którzy zawsze odznaczali się fantastycznem i łatwo zapalnem usposobieniem; już w pierwszych latach mojego dzieciństwa okazało się, że odziedziczyłem te właściwości rodzinne w wysokim stopniu. Rozwijały się one coraz więcej, napełniając obawą moich przyjaciół i przynosząc mi nieraz niepowetowane szkody.“

W siódmym roku życia oddano Edgara do prywatnej szkoły, w której przepędził pięć lat i zdobył wstęp do akademii w Richmond, skąd przeniósł się do akademii wojskowej, ale i tu niedługo popasał, gdyż wkrótce przeskrobał coś przeciw dyscyplinie i został „uwolniony ze służby Stanów Zjednoczonych.“ Jeszcze jako kadet pisał mnóstwo utworów poetyckich, które odczytywał z zapałem swym kolegom, jednakże ci uważali je za pozbawione wszelkiej wartości i za ogromnie zabawne.

Młodzieniec, pozostawiony własnym siłom, pragnął utrzymać się z pracy dziennikarskiej, ale początki były nadzwyczaj trudne. Wreszcie udało mu się zdobyć w r. 1833 literacką nagrodę, wyznaczoną przez „Saturday Visitor“ w Baltimorze. Wkrótce nazwisko Edgara Poe nabrało wielkiego rozgłosu, a on sam stał się jednym z najbardziej pracowitych i poczytnych literatów i dziennikarzy Ameryki. Czasopisma dobijały się o jego poezye, powieści i krytyki. Przy tem wszystkiem Poe bynajmniej się nie wzbogacił i jego stosunki materyalne nadal były dość opłakane. W roku 1836 ożenił się ze swą daleką kuzynką i przeniósł się do Nowego Yorku, gdzie zajął miejsce głównego współpracownika „Quarterly Rewiew.“ W bardzo krótkim przeciągu czaasu ostre jego krytyki narobiły mu mnóstwo nieprzyjaciół. Krytyki te dowodziły niecodziennej inteligencyi i wielostronności autora i dlatego właśnie budziły w czytelnikach żal, że tak wybitny pisarz marnuje swoje siły na małostkowe i osobiste sprawy.

Poprostu wyobrazić sobie nie można, ile Poe potrafił napisać w przeciągu tych lat kilku. Nie było dnia, w którym nie ukazywałyby się jego artykuły i feljetony na łamach paru gazet. Wreszcie dobrobyt zaczął zaglądać do domu poety; Poe wydawał tom za tomem i był u szczytu swej twórczości, gdy naraz śmierć żony pogrążyła go w tak głęboką rozpacz, że stracił zupełnie panowanie nad sobą i cały zasób niespożytej — jak się zdawało — energii. Wprawdzie miewał jeszcze czasami chwile, w których odżywała dawna jego siła, ale nie mógł się już dźwignąć z upadku.

Na krótki czas orzeźwił go pewien moment romantyczny. Oto spotkał w ogrodzie o północy białą damę, błądzącą wśród drzew przy blaskach księżyca. Była to nie bardzo już młoda poetka, miss Whitman. To ciekawe spotkanie wywarło olbrzymie wrażenie na umysł pisarza; następstwem jego była gwałtowna miłość, która doprowadziła do oświadczyn i zaręczyn. Już i dzień ślubu był naznaczony, gdy nagle między zakochanym poetą, a krewnymi jego narzeczonej wywiązał się stosunek ogromnie nieprzyjazny, jaki spowodował zerwanie. To sprowadziło



Edgar Allan Poe.

katastrofę. Edgar Poe staczał się gwałtownie w przepaść. Pewnego poranku przed sześćdziesięciu laty przyniesiono go nieprzytomnego prawie z powodu nadmiernego użycia alkoholu do miejskiego szpitala w Boltimorze, gdzie wkrótce wyzionął ducha.

Tak marnie skończył ten nieszczęśliwy geniusz, którego literatura światowa postawiła obok Heinego, Byrona i innych „o młodości nie bez skazy“. Dziwne jest, że znajdują się tacy, którzy widzą w nim jedynie pijaka, zapominając o jego nerwowej naturze, o niezliczonych rozczarowaniach, o wyczerpującej walce o chleb codzienny, wreszcie o melancholii, spowodowanej utratą ukochanej kobiety. Faktem jest, że Edgar Poe w młodości swojej odbiegł nieraz od drogi, jaką kroczą tak zwani „porządni“ ludzie, ale w każdym razie opisy tych wykroczeń, kreślone często przez jego osobistych wrogów, nie zawsze zgadzają się z prawdą.

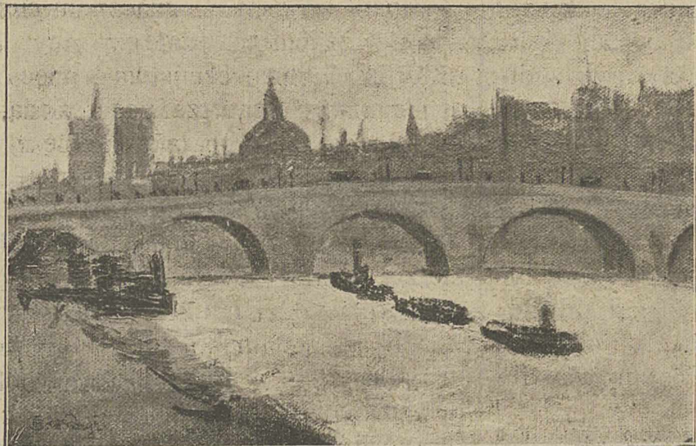
Pił — jak sam mówi — „aby uciec przed wspomnieniami wyrządzonych mu krzywd, przed uczuciem niezasłużonej hańby, aby zapomnieć o przeznaczonej mu klęsce.“ Bez wątpienia Edgar Poe był jednym z najnieszczęśliwszych ludzi pod słońcem, a za swoje winy odpokutował boleśnie. Zresztą, jako człowieka można go potępić i ubolewać nad jego nałogami, jako poetę zaś należy go zostawić na tem miejscu, na które wyniósł go niezaprzeczony talent i mrówcza pracowitość.

Już same jego liryczne poematy i nowele zapewnić mu powinny nieśmiertelne imię. Poe miał szczególne, aż do pewnej chorobliwości posunięte zamiłowanie do rzeczy niezwykłych, niecodziennych i dlatego nie poszedł utartą drogą dawniejszych pisarzy, lecz stworzył swój własny kierunek. Jego poezye tchną przytem ogromnem uczuciem i jakąś fantastyczną posępnością. Dość wymienić znany powszechnie poemat „Ulalume,“ lub Kruk“ z beznadziejnym refrenem: Nevermore (przenigdy)! To bezkreślne zwątpienie, ta nieuleczalna melancholia, jest ogólnym podkładem wszystkich poezyi Edgara Poego. Waryacye na jeden i ten sam temat: nieskończony ból duszy, którą z niedosiężnych wyżyn kontemplacyi ściągnięto w stek przyziemnego błota i codzienności...

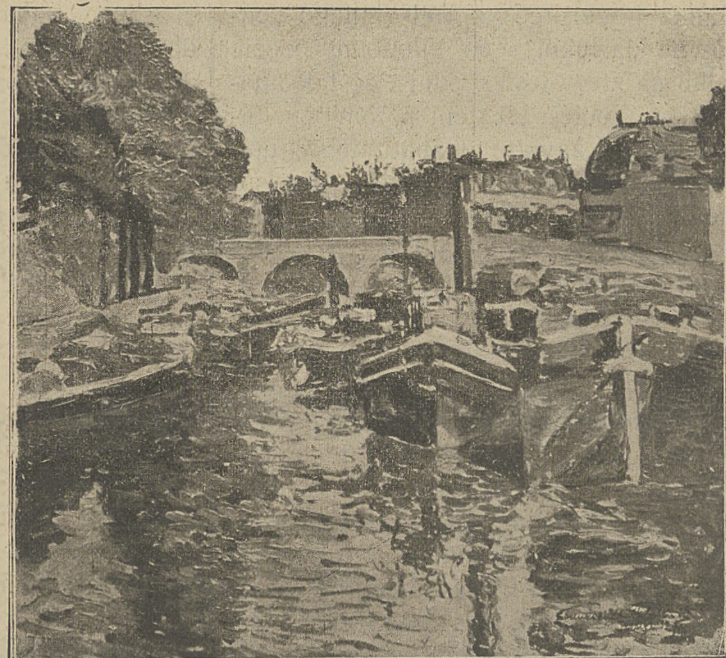
Zdawałoby się, że człowiek, tak piszący, nie jest zdolny do wyjścia poza świat, który sobie stworzył. Tymczasem Edgar Poe okazał w swoich nowelach i kryminalnych powieściach tyle zmysłu spostrzegawczego, tyle bystrości i realistycznego wyrachowania, że do dzisiejszego dnia pozostali za nim daleko w tyle wszyscy jego naśladowcy z Conan Doylem na czele. A przecież Edgar Poe żył o pół wieku przed nimi i nie miał na usługi wszystkich doświadczeń nowoczesnych organizacyi policyjnych. Jednem słowem był to talent niezwykły, któremu ani nędza, ani nieszczęścia nie mogły połamać skrzydeł unoszącej go nad zaczarowanemi ogrodami rozmarzającej romantyki wśród bezustannych zawodów i ciągłego borykania się z losem. Do śmiertelnego ciosu potrzeba było gromu.

Czesław Łukaszkiewicz.

Z Salonu Sztuki.



Stefan Sonnewendt.
Pont Solferino. (Most Solferino) w Paryżu.



Stefan Sonnewendt
Pont St. Michel. (Most św. Michała) w Paryżu.

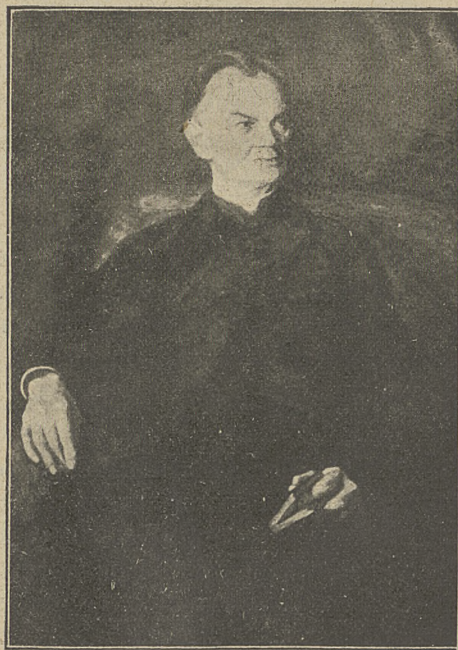
Obecna wystawa nasza przy ulicy Berlińskiej nie obfituje w dzieła nowe. Przeważna część wywieszonych tamże obrazów — to starzy znajomi: rzeczy Gwozdeckiego, Czarneckiego, Bocheńskiego, Stasiaka, Sieniawskiej i. d. Jednakże znachodzimy i nowe.

Zaraz w pierwszym saloniku spostrzegamy kilka dobrych rzeczy p. Emilii Otto-Fetterowej tudzież uwagi godne prace panny Emilii Arendt. Także inna dyletantka poznańska, p. Sikorska, wystawiła kilka udatnych obrazków w drugim saloniku. Są to rzeczy bezpretensyonalne, noszące na sobie cechę roboty dyletanckiej, lecz widać z nich, że osoba, która je malowała, dużo posiada odczucia malarskiego.

Daleko wyżej pod względem artystycznego oddania stoją rzeczy panny Arendt. Jest tam obraz, przedstawiający wnętrze salonu. W obrazie tym uwydatnia się nastrój, którego nawet wadliwa linia źle postawionego stołu zniweczyć niezdolna. Jest inny, martwa natura: kwiaty, winogrona, owoce — znakomicie odczuty i oddany. Jeżeli malowany z natury — a nie ze wzoru — natenczas świadczyłby o zupełnie niepospolitej technice i wybitnym talencie swej twórczyni.

Bardzo dobrze prezentują się dzieła pani Emilii Otto-Fetterowej. Kilka kartonów pastelowych (Druciarz, portret, Rusinka) oraz przepyszny wprost portret księdza. Osoby, które znają portretowanego — jest nim ks. Bakanowski ze Lwowa — twierdzą, że podobieństwo jest zupełne, że nadto charakter fizyognomii po mistrzowsku jest oddany. Pomijając już podobieństwo portretowe, zaznaczyć należy, że jest to dzieło wielkiej wartości malarskiej. Snać subtelna dusza odczuła tę twarz charakterystyczną, a technicznie wprawna ręka uwydatniła jej uderzające rysy. Jest w tym obrazie charakter, jednem słowem talent.

Również zdolnym malarzem jest pan Stefan Sonnewendt. Wystawił on cały szereg pejzaży w trzecim saloniku. Są to przeważnie nastrojowe im-



Emilia Otto-Fetterowa.
Portret ks. Bakanowskiego.

presye paryskie, przemawiające ciepłem i aksamitną miękkością tonu, wynurzające się w łagodnych konturach z przepojonej mgławem światłem powietrznej toni.

Jest tam jeszcze przepyszna rzeźba Biegasa, przedstawiająca głowę znanej naszej pianistki, panny Lili Mukułowskiej. Znakomity artysta znakomity znalazł model i odtworzył tę idealną głowę z całą wyrafinowaną finezyą swego wielkiego artyzmu. Dzieło to nosi wszelkie cechy wysokiej kultury artystycznej, której brak razi niekiedy w niektórych innych niepospolitych skądinąd rzeczach Biegasa.

Dla informacyi czytelnika reprodukujemy w niniejszym zeszycie portret księdza p. Fetterowej, dwa pejzaże Sonnewendta oraz znakomitą rzeźbę Biegasa. *R.*



Z teatru.

Humperdinck: „Jaś i Małgosia".

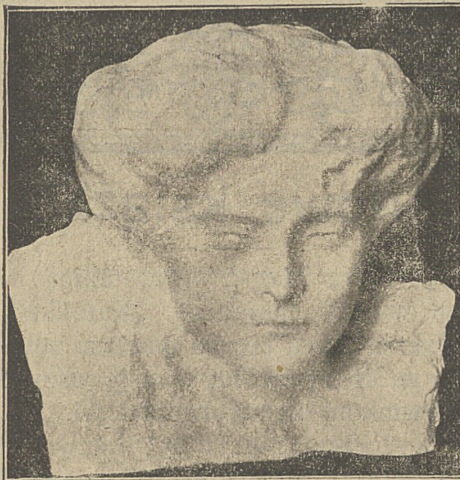
W sobotę, gdy pierwszy raz dawano przepyszną baśń muzyczną Humperdincka, teatr był przepełniony. Śmietanka towarzystwa zebrała się licznie, by rozkoszować się tem prawdziwem cackiem artystycznem, które od lat ma ustaloną sławę i z niebywałem powodzeniem bywa dawane na pierwszorzędnych scenach europejskich. Lecz zapał minął szybko. W poniedziałek parter tylko do połowy był zapełniony, loże świeciły pustkami... Szkoda. Rzecz to bowiem warta widzenia. Pod względem muzycznym przenosi wszelkie „Słodkie Dziewczyny" i „Wesołe wdówki" razem wzięte o nieba całe. Wogóle jednego z drugiem wcale porównywać nie można, bo to zupełnie inne kategorye i wartości muzyczne.

W „Jasiu i Małgosi" uwydatnia się wpływ wagnerowskiej sztuki. Podobnie jak Wagner i Humperdinck temat zaczerpnął ze skarbca narodowej poezyi niemieckiej, z baśni ludowej. W jego

stylu utrzymana jest deklamacya i muzyczne malarstwo sytuacyjne, uwydatnione w recytatywie i wysoce oryginalnej instrumentacyi orkiestralnej. Podobnie jak Wagner i Humperdinck traktuje orkiestrę jako samoistny żywioł w operze, wysuwa ją wskutek tego w stosownych chwilach nawet przed śpiewaka i różni się tem zasadniczo od mistrzów starej włoskiej szkoły operowej, którzy orkiestrze tylko w uwerturach pozwalali przemawiać samodzielnie, podczas gdy skazywali ją na rolę dyskretnego akompaniatora z chwilą, gdy się kurtyna podniosła.

Na naszej scenie dzieło Humperdincka dzięki zręcznej pałeczce dyrygenta p. Langnera i znakomitej zewnętrznej wystawie prezentowało się wcale poważnie. Orkiestra przewyższyła szczególniej na poniedziałkowem przedstawieniu—wszelkie sprawiedliwe i uzasadnione oczekiwania; inscenizacya zaś była zupełnie europejska.

Pod względem wokalnym należy wymienić na pierwszem miejscu panią Floriani w roli wiedźmy. Znakomita artystka pod każdym względem była na wysokości zadania i odśpiewała trudną swą partyę prawdziwie po mistrzowsku. Szczególniej arya, śpiewana podczas tańca, pełna demonicznych akcentów, elektryzowała słuchaczów. Głos wielki i czysty dominował nad orkiestrą, czego nie można powiedzieć — za jednym wyjątkiem pana Fotygi (miotlarza) — o reszcie śpiewaków. Nawet dość silny głos p. Krajewskiej, która zresztą bardzo ładnie wywiązała się z roli Małgosi, miejscami niknął w powodzi muzyki orkiestrowej. Daleko gorzej pod tym względem wiodło się pani Budwiczowej (Gertruda), która swej partyi wogóle nie uwydatniła należycie. Pani Olańska (duch snu) i Palczewska, jako duch rosy, oddały swe małe partyę sympatycznie. Pan Fotygo był w roli miotlarza zupełnie na miejscu; pomijając kilka wyższych tonów, które wziął o ćwierć tonu za nisko, odśpiewał artysta swą partyę poprawnie, z temperamentem i lubo głos jego niewiele posiada metalu — to jednak występ jako całość, bardzo dodatnie wywarł wrażenie. Partyę Jasia objęła panna Katarzyna Sawicka. Pierwszy to występ na deskach, występ — powiedzmy otwarcie — nie bardzo szczęśliwy. Debiutantka posiada głos miły o ciepłem lirycznem zabarwieniu, któryby bardzo sympatycznie się wydał w salonie przy dyskretnem akompaniamencie fortepianu, lecz na scenę, do tego w partyi wymagającej wielkiego zasobu sił strun głosowych, głos ten obecnie jeszcze się nie nadaje. Niewątpliwie sumienne studyum i czas rozwinie ten podatny materyał głosowy i uzdolni go do odtworzenia partyi Jasia. Tak, jak obecnie jest, artystka — w tej roli przynajmniej — o powodzeniu marzyć nie może; przekracza ona granice jej sił fizycznych, a także miarę jej czysto technicznych uzdolnień. Pod względem aktorskim wywiązała się panna Sawicka bardzo ładnie z zadania, grała żywo i poruszała się na scenie z wdziękiem i swobodnie. *R.*



Biegas (rzeźba).
Portret panny Lilli Mukulowskiej.
(Patrz artykuł p. t. „Ze Salonu Sztuki")

Pogadanka naukowa.

Fosfor.

Wątpię, żeby kto z czytelników widział kiedy czysty fosfor, ale każdy prawie miał w ręku zwyczajne zapałki siarkowe; mają one tę własność, że przy pocieraniu o chropowatą powierzchnię dają błyszczący ślad i zapalają się, — jeśli zaś są wilgotne, to za potarciem w ciemności słabo błyszczą, wydzielając biały, niemile pachnący dym. To ciało, które zapala się przy pocieraniu zapałek i błyszczy w ciemności, jest właśnie fosforem.

Czysty fosfor otrzymuje się sztucznie z tych ciał, które go w sobie zawierają, — głównie zaś z kości.

Spalmy kawałek kości. Początkowo otrzymujemy czarną, zwęgloną masę; ale potem wszystek węgiel z kości się wypala i pozostaje masa kostna, biała, lekka, tak krucha, że rozciera się w palcach. Masa ta składa się głównie z wapna i fosforu. Dla otrzymania fosforu, ogrzewają przepalone kości z węglem i kwasem siarczanym. Zebrany w postaci płynnej fosfor wlewa się w formy, gdzie zastyga w żółte, miękkie laseczki.

Główną własnością forforu jest jego nadzwyczaj łatwa palność. Nawet bez ogrzania, leżąc w powietrzu, powoli spala się na powierzchni, łącząc się z tlenem powietrza, — przyczem wydaje słaby blask, zwany fosforycznym. Przy słabem ogrzaniu już łatwo się zapala. Dość lekkiego potarcia lub zadraśnięcia fosforu igłą, żeby zapalił się przy nieznacznem cieple, jakie przytem powstaje.

Dla bezpieczeństwa więc fosfor trzymamy zawsze pod wodą, która przeszkadza mu łączyć się z tlenem powietrza.

Z powodu łatwej palności fosforu, zapałki zwane siarniczkami, nie są dość bezpieczne, nieraz bywały przyczyny pożaru — i dlatego dziś zastąpiono je zapałkami innemi, które zapalają się dopiero po potarciu o bok swojego pudełka. Łepek takich zapałek zwanych szwedzkiemi, bo w Szwecyi zaczęto je najpierw wyrabiać, składa się z masy palnej, zawierającej sól Bertoleta, ale nie mającej forforu. Fosfor zaś jest na bocznej chropowatej ścianie pudełka. Przytem jest to inna odmiana fosforu, zwanego czerwonym, który nie tak łatwo się zapala.

Wyrób zapałek ogromnie rozwinął się w ostatnich czasach. Niegdyś, zamiast nich, używano do rozniecania ognia krzemienia, krzesiwka stalowego i hubki. — Praca w fabryce zapałek jest niemiła, a co gorsza — niebezpieczna i szkodliwa. Robotnicy muszą wciąż oddychać parą fosforu — a fosfor jest silną trucizną. Jeśli rozpalony fosfor dostanie się na ciało, wygryza zjadliwą, trudno gojącą się, a często śmiertelną ranę.

Niebezpiecznem jest nawet upadnięcie na rękę rozpalonej główki zapałki siarkowej, — może bowiem wywołać gangrenę. Również zabójczo działa fosfor zażyty wewnątrz; otrucie fosforem sprowadza śmierć w ciężkich męczarniach.

A jednak ten sam fosfor, który w stanie czystym jest dla nas straszną trucizną, stanowi niezbędną część składową naszego ciała. Wszystkie części ciała ludzkiego i zwierzęcego — mięśnie, mózg i nerwy, kości, zęby, krew, mleko — zawierają w sobie pewną ilość fosforu. Szczególniej dużo jest go w kościach, zębach i mózgu. Gdy w kościach jest za mało tych minerałów, stają się one miękkiemi; ta miękkość zowie się chorobą angielską kości. Dzieci z chorobą angielską mają zwykle powykręcane nóżki, a często skrzywienie kręgosłupa, wywołujące garby; takim dzieciom doktor przepisuje lekarstwo zawierające fosfor z wapnem.

Wszystek ten fosfor, jaki mają w sobie ludzie i zwierzęta, oczywiście dostaje się do ich ciała z pokarmem,

pochodzącym z innych zwierząt lub z roślin. Że zaś wołom, baranom, kurczętom i t. p. zwierzętom jadalnym dostarczają pożywienia rośliny, przeto ostatecznie wszystek ten fosfor przechodzi do zwierząt z roślin.

Rzeczywiście, rośliny zawierają w sobie większą lub mniejszą ilość fosforu. Szczególniej dużo go jest w nasionach roślin — więc w ziarnach zbóż, w grochu, fasoli i t. d.

To nam tłomaczy, dlaczego rośliny rozwijają się słabo w ziemi, nie mającej dość fosforu. Takiej ziemi dostarczamy fosforu w nawozach naturalnych, a szczególniej w różnych nawozach sztucznych, jak superfosfat, tomasówka, fosforyty mielone, mąka kostna. Każdy z tych nawozów zawiera znaczną ilość fosforu.

W ciałach tych, zarówno jak w gruncie i wodzie gruntowej, fosfor znajduje się w postaci różnych związków. Najważniejszym z nich jest kwas fosforny, w skład którego wchodzi fosfor, wodor i tlen. Kwas fosforny może znów łączyć się z różnemi innemi ciałami, również niezbędnemi dla roślin, jak potas, soda, magnezya, — które z nim razem przedostają się do roślin i służą do budowy ich ciała.

O jednym jeszcze związku fosforu musimy wspomnieć, chociaż nie jest on ważnym — ale za to jest dość ciekawym. Nazywa się fosforowodorem i, jak pokazuje nazwa, jest połączeniem fosforu z wodorem. Jest to płyn, który łatwo ulatnia się i ulatując, zapala się w powietrzu bladym płomykiem.

W banieczce ogrzewam ostrożnie kawałek fosforu z wodą i gryzącem potasem. Przez rurkę wydziela się gaz kółeczkami, które zapalają się w powietrzu. Otóż gaz ten powstaje i sam w przyrodzie, tam gdzie pod ziemią gnije ciało wszelakie, kości i t. p. Nieraz słyszymy o błędnych ognikach, skaczących po mogiłach umarłych. Ludzie zabobonni, lub nieświadomi rzeczy, uważają te ogniki za dusze pokutujące lub za świece zapalające się przy umarłym. Takie same ogniki ukazują się często po moczarach, bagnach i trzęsawiskach, przeskakują one z miejsca na miejsce, to zapalają się, to gasną, napędzając nocą wielkiego strachu ludziom lękliwym. Powiadają, że te ogniki palą się na błotach tam, gdzie są ukryte skarby, albo że dyabeł pilnuje tych skarbów i odwodzi na trzęsawę śmiałka, który się do nich zbliży, a potem goni po bagnie uciekającego. I prawda. Gdy szybko podchodzisz do ognika, odsuwa się on pod pędem powietrza; gdy zaś uciekasz posuwa się za pędem. Wszystkie te sztuki i strachy wyprawia niewinny gaz, który nazwaliśmy fosforowodorem. Gaz ten tworzy się i ulatuje z trupów, spoczywających w mogiłach, lub gnijących na błocie zwierząt.

Jeżeli wam się zdarzy kiedy zobaczyć taki błędny ognik, nie lękajcie się go napróżno, nie uciekajcie przed nim, lecz przyglądajcie mu się ciekawie, jest to bowiem prawdziwie piękne zjawisko.



Nowe książki.

„Rycerz Maryi." Pod takim tytułem wyszła nakładem „Katolika" w Bytomiu nowa piękna powieść zeszytowa, na co zwracamy uwagę wszystkim lubownikom pięknych powieści.

Rycerzem Maryi był sławny hetman polski Stanisław Żółkiewski. Niedawno, gdy jego grób otworzono, aby prochy nieśmiertelnej pamięci męża tego do nowego grobowca przenieść, znaleziono w trumnie pierścień z napisem: „Podnóżek Maryi". Ten pierścień hetman nosił za życia, jako gorący wielbiciel Najśw. Maryi Panny i z nim go też pochowano. Życie, sławne boje i czyny, oraz najchwalebniejszą śmierć na polu bitwy z Turkami opowie w przepiękny sposób nowa powieść.

Nie będzie to zwyczajne, wymyślone przez pisarza opowiadanie, lecz na prawdziwych zdarzeniach historycznych oparta powieść.

Napisał ją sławny polski powieściopisarz, Artur Gruszecki, który dotąd blisko 40 powieści swoich wydał. Wszystkie są piękne, bardzo ciekawie napisane, a przeto też chętnie przez wszystkich czytane.

„Rycerz Maryi" będzie wychodził w zeszytach; co tydzień ukaże się jeden zeszyt, ozdobiony pięknym obrazkiem. Cena każdego zeszytu wynosi 10 fen. Cała powieść obejmuje 50 zeszytów.

Pierwszy zeszyt może każdy otrzymać darmo w ekspedycyi „Pracy" w Poznaniu lub też w ekspedycyi „Katolika" w Bytomiu.

Polecamy tę nową powieść wszystkim czytelnikom, a szczególnie także czytelniczkom. W powieści będą występowały niewiasty nadzwyczajnego ducha i wzniosłej pobożności, jak małżonka hetmana Żółkiewskiego, a także niewiasta zuchwałej odwagi, Maryna Mniszchówna, która została carycą moskiewską.

Nikt nie pożałuje, kto tę powieść zapisze. Zamawiać można w ekspedycyi „Pracy" w Poznaniu lub też w ekspedycyi „Katolika" w Bytomiu.

Kto chce wprost z ekspedycyi „Pracy" zeszyty dostawać, niech przyśle najlepiej 1 mk., za co otrzyma zeszyt pierwszy do jedenastego franko.

* * *

S. Bendlewicz. Wrażenia z wycieczki na północ i wschód. (Odbitka z „Dziennika Poznańskiego"). W książce są przystępnie i malowniczo opisane wobec wrażeń z podróży następujące miasta: Sztokholm, Upsala, Helsingfors, Wyborg, Petersburg, Gatczyna, Psków, Dźwińsk, Wilno, Grodno, Białystok, Warszawa, Łódź i Kalisz.

* * *

Miesięcznika kościelnego „Unitas" ukazał się zeszyt 2 i zawiera:

Kościół i państwo, ciąg dalszy (Ks. K. Kantak). — Dalsze uwagi o pracach organizacyjnych duchowieństwa czesskiego (D. Królikowski). — Krótki rzut oka na dzieje archidyecezyi gnieźnieńskiej i poznańskiej od r. 1793—1866, ciąg dalszy (Ks. Ignacy Adamski). — Czem wyjaśnić bezowocność częstą naszych kazań — jak jej zaradzić? (Ks. Koterbski). — Parochus proprius zapowiedzi w dekrecie „Ne temere" (Ks. Płoszyński. — Zapiski. — Rozporządzenia władz kościelnych. — Nowe książki.



Wiece, zebrania.

* **Drezno.** W niedzielę dnia 31-go stycznia będzie miał wykład w sali posiedzeń Towarzystwa Przemysłowców Schreibergasse nr. 12, p. dr. med. Władysław Müller o chorobach zakaźnych i hygienie.

Korzystając z nadarzonej sposobności, pozwalamy sobie Szan. Rodaków przebywających w Dreźnie lub okolicy zaprosić na powyższy wykład jaknajuprzejmiej. Początek o godzinie 8-mej wieczorem.

Zarząd.



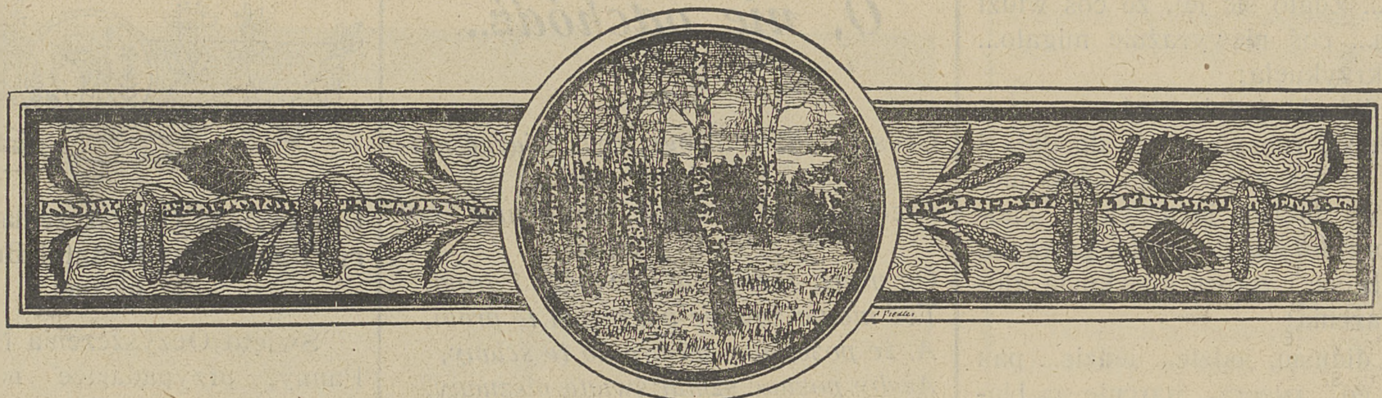
Do noweli Rawity
„Śmierć Wernyhory".

— Oj, didusiu, jedzie... jedzie... pan jakiś, czy co... rycerz... harcuje na białym koniu, a zbroja mu się świeci od słońca...

Wacław Pawliszak.

Album „Pracy".

Drukiem „Pracy".



Fr. Rawita.

Śmierć Wernyhory.

3) Baśń ukraińska.

(Ciąg dalszy.)

Pod wpływem posępnego nastroju dziada, całe towarzystwo było jakby zwarzone; wysilano się na wesołość, ale wesołość nie przychodziła.

Król pragnął przerwać przykre usposobienie, które nagle, niewiadomo skąd, ogarnęło wszystkich.

— A jakże wy się nazywacie, didu? — zapytał protekcyonalnie, przykładając lornetkę do oczu i przypatrując się siwym strzępkom włosów, okalających głowę.

Did siedział obojętnie, jak gdyby nie słyszał zapytania; wreszcie, nie podnosząc głowy, odrzekł:

— Wernyhora...

— Pięknie się nazywacie...

Starzec ręką skinął i ani słówka nie powiedział. Powoli podniósł głowę i siwe oczy swoje utkwił w królu, jakby chciał go zbadać.

— Cóż tu robicie? — pytał dalej król.

— Co? Pokutuję za łatwowierność... Przodkowie zgrzeszyli a ja pokutuję.

— Wybraliście sobie wesołe miejsce do pokuty.

Słowa te dotknęły starca.

— Co mnie po miejscu wesołem, kiedy w duszy smutno!

Ręką uderzył w pierś, kosmatym, siwym włosem porosłą.

— Przyjdź do nas, — rzekł król — weź teorban — grać będziesz... rozweselisz się.

— Dokąd — do was?

— Do Kaniowa.

Starzec żachnął się.

— Nie! Nie pojadę... Nie chcę patrzeć na wasze całowania się... fe! fe!

Powiedziawszy to, odwrócił się i splunął kilka razy na ziemię z obrzydzeniem.

Król indagował go dalej.

— Mówią, że umiecie przepowiadać przyszłość?

— Nie... — zaprotestował stanowczo. — Umiem prawdę mówić... — Potem dodał: — Mówię to, co wydaje mi się prawdą!

Najjaśniejszy Pan uśmiechnął się i, zwróciwszy się do otoczenia, rzekł:

— Odpowiada jak Sokrates...

Wernyhora uwagi na to nie zwrócił, tylko wzrokiem szukał Hanusi.

— Hanusiu, gdzie ty?

— Tu jestem, didusiu.

— Pójdź, moje dziecko, popatrz na Szpakową polanę: czy tam nikogo nie widać?

Dziewczyna poszła, wróciła.

— Nie, didusiu; nikogo nie widać.

Starzec okazywał jakiś niepokój wewnętrzny, pomimo spokojnego na pozór zachowania się. Czasem rękawem od koszuli pociągnął niechcący po strunach bandury, a zgrzyt ów budził starca i jeszcze większym niepokojem napełniał.

Towarzystwo zaczęło się już nudzić; damy niespokojnie kręciły się na niewygodnych siedzeniach i spoglądały na króla — rychło-li da znak do odwrotu; ale król nic nie mówił: interesowało go zachowanie się starca, który siedział pogrążony w swoich myślach, obojętny na to wszystko, co się dokoła niego działo, tylko chwilami podnosił badawcze spojrzenie i wodził niem po twarzach zgromadzonych. Nagle wzrok jego zatrzymał się na królu.

— Cóż to u ciebie błyszczy na żupaniku? — zapytał.

— Gwiazda, którą tylko królom wolno nosić.

Wernyhora głową pokiwał. Podniósł rękę do góry i rzekł:

— Ta gwiazda prowadzi, a twoja...

Po tem słowie rękę w dół obojętnie pochylił i dokończył:

— Twoja — to tak, jak błędny ognik na bagnie świeci.

Król ironicznie patrzał na starca:

— A wiesz-że ty, kto ja jestem?

Na to zapytanie Wernyhora w twarz króla spojrzał, chwilkę spojrzenia na niej zatrzymał, a potem rzekł:

— Ty? Nic... — i dodał spokojnie: — Jeden ma piękną duszę, a drugi — ubranie... Zwykła rzecz na świecie...

W otoczeniu króla szmer powstał. Najjaśniejszy Pan, podniecony ciekawością, nie mógł się już powstrzymać, więc mówił dalej:

— Niezadługo mam wrócić do domu; powiedz, czy wrócę szczęśliwie?

Wrócisz, wrócisz...—rzekł ze zwykłym spokojem starzec; — ale... lepiej byłoby, gdybyś nie wrócił...

Słowa te znowu poszmer w otoczeniu króla wywołały; król wszakże zdawał się na nie uwagi nie zwracać.

— Dlaczego? — zapytał.

— Możeby i nieszczęście twoje tutaj zostało...

Najjaśniejszy Pan zamilkł. Skorzystała z tej chwili milczenia p. Grabowska, pytając:

— Czy się król ożeni?

— Nie... ale będzie miał dużo dzieci...

Damy poczęły wachlować się niespokojnie, lornetować starca i półszeptem rozmawiać z sobą, a Wernyhora dodał:

— Co posiejesz, to się urodzi... nie wiele z tych dzieci będzie pociechy.

Powiedziawszy to, zamilkł, a po chwili do dziewczyny się zwrócił:

— Hanusiu! gdzie ty? — zapytał, głowy nie podnosząc.

— Tu jestem...

— Pójdź, moje dziecko, popatrz na Szpakową polanę: czy tam nikogo nie widać?

Dziewczyna poszła. Przyglądała się pod słońce, rękę przykładając do czoła, odejmowała ją, znowu patrzała, przecie-

rała oczy... Zdało się jej, że coś widzi pod lasem... coś niewyraźnie migało...

Nagle krzyknęła:

— Oj, didusiu, jedzie ktoś...

Chciała się ruszyć, biedz do dida i nie mogła — jak gdyby siła jakaś niewidzialna do miejsca ją przykuła. Znowu rękę przyłożyła do czoła, patrzała, wpatrywała się i znowu krzyknęła głosem przerażenia:

— Oj, didusiu, jedzie... jedzie... pan jakiś, czy co... rycerz... harcuje na białym koniu, a zbroja mu się świeci od słońca... Kołpak złocisty na głowie... pancerz miga... miecz przy boku...

Śród pań i panów powstało zamieszanie. Wszyscy porwali się z krzesełek i z trwogą, jak gdyby wobec niebezpieczeństwa, stłoczyli się. Panie poczęły krzyczeć:

— Ktoś jedzie! Jedzie!...

Zasłaniały oczy wachlarzem i uciekały, gdyż zdawało się, że ów jeździec wprost na całe towarzystwo sadzi. Panowie uspokajali panie. Król lornetkę przy oczach trzymał w drżącej nieco ręce i z bladą twarzą przypatrywał się temu dziwnemu zjawisku.

„Skąd mógł wziąść się ten rycerz?“ — rozmyślał.

Wreszcie uśmiechnął się zwykłym swoim obojętnym uśmiechem i rzekł:

— Osobliwe zjawisko... fata-morgana... nic więcej.

Lornetował jeszcze chwilę rycerza i dodał:

— Bardzo piękne zjawisko... bardzo piękne... Szkoda, że niema Imci Pana Trembeckiego, aby je opisał wierszem...

(Dokończenie nastąpi.)

Są znakomite imiona i wielkie zasługi, których głośność nie przechodzi za obręby i pojęcia własnego kraju, — ale bywają wyższe, rzadsze, lub wyłączne imiona, co czasem, przez szczęśliwy zbieg okoliczności same w sobie noszą całą historyę krajową swej epoki, co wszędzie ze czcią są powtarzane, bez głębszego badania dziejów i tylko na wiarę krążącego o nich echa po umysłowej atmosferze świata. Gdy się wszczyna gdzie mowa o jakim kraju, podobne imiona przychodzą do ust najmniej świadomych jego historyi. Cudzoziemiec często nic o nich wyrzec nie umie, tylko powtarza to lub owo imię, które przyjął i podaje jako symbol tego narodu. Sobieski, Kościuszko, Poniatowski, byli i są dla Polski podobnego rodzaju imionami. Są to nasze klejnoty, przechowane w ogólnym skarbcu ludzkości, są one wyobrażeniem Polski, a ich wyrzeczenie oznakiem czci dla niej i współczucia.

Adam Czartoryski.

O, nie odchódź...

Syn:

Czas mi już w drogę, czas wiązać manatki,
Przeciem nie dzieciak, aby mnie łzy matki
Od mych zamiarów odwiodły i drogi.
Toć nie na zawsze porzucam te progi,
A, że pożegnam na krótko te ściany,
Ażeby poznać szmat świata nieznany,
Toć nic znów złego i nie sam też przecie
Pójdę w obczyznę, jużem też nie dziecię,
Co się matczynej trzyma wciąż spódnicy...
No, dosyć matko, dosyć już tęsknicy,
Otrzyjcie oczy, żegnajcie mnie, proszę,
Za to, gdy wrócę, przywiozę wam grosze.

Matka:

O tak, wiem synku, przywieziesz talary;
Ale się Boga pozbędziesz i wiary
I obca mowa poplącze ci twoją
I w sercu grzechy chwastem się zaroją
I z sił wyzuty, sam sobie nie miły,
Powrócisz żywy, lecz bliski mogiły. —
Czyż ci nie miłą już ta ziemia nasza,
Że za srebrniki ty, na wzór Judasza,
Idziesz ją zdradzić tym, co płacą drożej,
Choć wiesz, że złość ich przeciw nam się sroży?
Słuchaj, ostatni raz już mówię do cię,
Synu, mój synu, w czoła swego pocie
Ty chcesz im służyć, jeść kęsy ich chleba,
A tu, wśród swoich, rąk braknie i gleba,
Co ją Bóg kłosem dojrzałym użyźni
Będzie cię wołać: „Tu kraj twój, tu bliźni,
Gdzieżeś to poszedł odemnie na długo,
Najmito obcych, niewdzięczny mój sługo?“
I kiedy wrócisz o pobladłej twarzy
Ziemia swym żarem stopy ci poparzy,
Wietrzyk od ciebie odwróci się zdala,
Wstrętem ci w oczy bluźnie rzeki fala...
A ja, twa matka, co u niebios progu,
Rachunek kiedyś za ciebie zdam Bogu,
Z wyrzutem ciężkim, co dnia, co godzina,
Z trwogą, bojaźnią czekać będę syna...
Idź, gdy tak pragniesz, lecz powiem ci tyle,
Gdy wrócisz, może będę już w mogile!

Przebrzmiały słowa, chłopak pełen lęku
I ze łzą w oku kręcił czapką w ręku,
Wreszcie zgiął nogi i padł na kolana:
„Zostanę z wami matusiu kochana!“
Został — i z śpiewką, co echem drży długiem
Chodzi ochoczo za własnym swym pługiem.

Paula Wężyk.





Uroczystość Oczyszczenia Najśw. Maryi Panny czyli Matki Boskiej Gromnicznej.

Święto Oczyszczenia Najśw. Maryi Panny, przypadające na dzień 2-go lutego, już znane 542 r. p. Chr., — a tak zwane dla obowiązków, jakie Matka Boża spełniać musiała. Był bowiem przepis Mojżeszowy (Lew. 12, 1—3), że każda niewiasta po porodzeniu chłopca 40 dni, po porodzeniu dzieweczki 80 dni miała uchodzić za nieczystą w ten sposób, że nie wolno jej było dotknąć nic uświęconego ani wstępować do świątyni. Podstawą tego przepisu była myśl różnicy, jaka panuje pomiędzy świętością uosobioną Boga, a grzeszną istotą człowieka. Grzech, a raczej skutki grzechu objawiają się nietylko w konieczności śmierci, ale i w całem życiu człowieka na ziemi; stąd też i wstąpienie do tego życia przez urodzenie nacechowane było w myśl Starego Zakonu brakiem odpowiedniej świętości, a brak ten się usuwał oczyszczeniem z wody wedle zwyczajów Zakonu mojżeszowego. Łączność znowu człowieka z Bogiem stwierdzała się złożeniem ofiary; stąd też i Najśw. Marya Panna do niej była zobowiązana. Zwykle składała się ofiara z jagnięcia rocznego nieskazitelnego na całopalenie, oraz z gołąbka na ofiarę grzechu!

Dla życia chrześciańskiego uroczystość Oczyszczenia Najśw. Maryi Panny ma dlatego nie małe znaczenie, że za wzorem Maryi i niewiasty po połogach w myśl Kościoła udawać się mają do wywodu w świątyniach katolickich. Zniósł Zbawiciel cały ceremoniał Starego Zakonu, a wyniósł małżeństwo do ważności i wzniosłości sakramentu. Ztąd też nie może być mowy przy obrządkach dla matek przepisanych o nieczystości wedle pojmowania prawa mojżeszowego; przeciwnie matka przy wywodzie ma z jednej strony i dziecię swe Bogu ofiarować i błagać o dobre dlań wychowanie na chwałę niebios i pożytek społeczeństwa, a z drugiej strony za siebie Bogu winna złożyć podziękowanie za chwile niebezpieczeństwa szczęśliwie przebyte, oraz wybłagać sobie na przyszłość siłę do spełniania obowiązków swych nadal jako żony i matki.

Uroczystość Oczyszczeniia Najśw. Maryi Panny nazywamy także uroczystością Matki Boskiej Gromnicznej dlatego, że w dzień ten święcą się w



Matka Boska z Dzieciątkiem Jezus.
Monachium — Pinakoteka.

Virgini et Matri.

(Z tryoletów).

I otom znowu, jak zbłąkane jagnię,
U boskich Twoich, o Przeczysta, stóp,
Niech kwiat Twej łaski do mych ust się nagnie,
Bo oto wracam, jak zbłąkane jagnię.
Daj, niech zeń piję. Rosy dusza pragnie...
Znów mi się w niebie pali ognia słup,
Który mnie przywiódł, jak zbłąkane jagnię,
Do boskich Twoich, o Przeczysta, stóp.

M. M. Poznański.

kościele świece woskowe t. zw. gromnice. Według dawnego zwyczaju przechowuje ją się w domu i daje zapaloną do ręki konającego. Gromnica zapalona w ręku umierającego ma oznaczać dobre uczynki, które go poprowadzą do wiecznej światłości po nagrodę. Nie godzi się używać gromnicy do oświetlania pomieszkania.

Gromnica zapalona podczas wielkiej burzy, pożaru i t. p. ma odwrócić nieszczęście i położyć tamę szerzącemu się niszczącemu żywiołowi.



Zygmunt Szölösi.

Czarny chleb demona.

(Nowela z węgierskiego).

Ożenił się!... Władek ożenił się. Z osobą, o której nikt w towarzystwie nie słyszał. Nie do uwierzenia.

Dawać tu Julka: to jego najlepszy przyjaciel, nie ujdzie żywy, dopóki nam nie opowie tej awantury.

Julek uśmiechnął się dyskretnie, zapalił cygaro, siadł przy naszym stole i wbrew oczekiwaniu, odrazu rzecz rozpoczął:

— Chętnie opowiem, co wiem, ale uprzedzam, iż wiem nie wszystko. Przedostatni rozdział romansu nie jest mi znany, będziecie go musieli fantazyą dopełnić. Ze dwa miesiące temu przychodzi do mnie Władek dziwnie zamyślony. Starego wygi, łobuza kipiącego werwą — ani śladu.

— Co ci się stało? — pytam — wyglądasz jak ambitny sztubak, któremu się zdarzyło nie umieć lekcyi i rozmyśla, czy się nie powiesić? Lub może twój „ideał“ cię zdradza?“ Tam do licha, nie żarty! Cóż ci jest? Zakochałeś się, mazgaju, czy co u pioruna?

Władek spojrzał na mnie żywo, a w oczach jego zabłysnął wyraz zdziwienia czy radości, jak gdyby jakiegoś odkrycia dokonał.

— Wiesz, dziwne zdarzenie miałem dzisiaj — odparł. — Rano budzi mnie listonosz. Zły, poznaję pismo ciotki, rzucam list i chcę spać w dalszym ciągu. Coś mnie jednak korci, abym przeczytał, więc biorę epistołę i pasya moja wzrasta. Ciotka, jak zwykle, rozwodzi się nad swym jedynakiem. Nawiasem mówiąc — czy znasz tego cudaka? Utrapieniec! Ale nie przeszkadza to matce go uwielbiać i wielki ma żal do mnie, że mentorować mu nie chcę w stolicy. Nie lubię go.

Źle się uczył, teraz bąki zbija, gra, awanturuje się, traci, pieniądze nie wiadomo na co — słowem, przysparza matce ciągłych kłopotów. Ale tym razem rzecz się ma inaczej. Ciotka pisze, że doszła nareszcie, dlaczego jej Lolo jest nie zawsze takim, jakim być powinien...

Mianowicie trzyma go w szponach demon jakiś, kobieta, wyzyskująca serce jego i kieszeń, nie mówiąc o umyśle. (To ostatnie zresztą — to mój własny dodatek, bo ciotka o jego umyśle nie wątpi). „Idźże do niej — pisze ciotka — przemów do jej sumienia, może nie całkiem jeszcze zepsute to stworzenie, niech Lola uwolni od siebie, niech sobie inną ofiarę obierze, a matce niech zostawi jedyną pociechę. Potrafisz być tak wymowny, tak przekonywający, ile razy zechcesz — zaopiekujże się raz w życiu biednym Lolkiem, zobowiąż ją czem chcesz, choćby pieniężnym datkiem, aby mu przestała w głowie zawracać.“ Zaklęcia, prośby, piętrzą się w liście pod niebo, dosyć, że niechętnie, ale ujrzałem się zmuszony ustąpić kochającej matce i podążyć na ratunek zagrożonego pacholęcia.

Przybywam pod wskazany adres, jakaś boczna uliczka, czwarte piętro... Dzwonię. Otwiera mi służąca już niemłoda.

— Tu mieszka panna Matylda Z.?

— Tutaj. A pan w jakim interesie? Czy z fabryki?

— Tak... z fabryki — skłamałem naprędce, instynktownie czując, że inaczej obecność moja tutaj nie będzie dostatecznie usprawiedliwiona.

— Panny Matyldy niema teraz w domu: do siódmej jest zajęta w fabryce maszyn G.

—Już po siódmej...

— Tak, ale droga zabierze jej najmniej pół godziny czasu.

Piechotą chodzi z tak daleka?...

Kobieta z politowaniem zmierzyła mnie oczyma.

— Gdyby miała na ekwipaże, nie potrzebowałaby pracować na życie. Może pan poczeka, powinna przyjść niedługo.

Zapaliła lampę, usiadłem w pokoiku niewielkim, urządzonym nad wszelki wyraz skromnie, ale nie bez gustu. Nad łóżkiem biało zasłanem duża fotografia Rafaelowskiej Madonny w prostej, czarnej ramie; na biurku, na stalużkach rodzinna jakaś grupa, złożona z dwojga starszych osób, młodej dziewczyny o wspaniałem czole i kilkorga dzieci... Opodal, na pudełeczkach koło lustra, dwie śliczne statuetki ze starej porcelany — coś, jakby zabytki lepszej przeszłości... U okna czyste, białe firanki, stolik, szafa niewielka, cztery krzesła — oto cały strój mieszkania. Przygotowany na zupełnie co innego, oglądałem mimowoli, czy niema gdzie z boku drzwi ukrytych zręcznie, wiodących może do jakiego przybytku, godnej reprezentującego jaskinię „wampira,“ wyżerającego mózgi i kieszenie młodzianków...

Dzwonek... szybkie kroki — wbiega ta, ze wspaniałem czołem i oczami sarny.

— Pan... z fabryki jakiejś podobno?

Zerwałem się z miejsca i na widok ślicznej panny stałem przez chwilę jak wryty.

— Nie pani — rzekłem wreszcie. Był to tylko wybieg; interes, który mnie tu sprowadza, jest czysto osobistej natury.

Podałem jej list ciotki, czując, że wobec tego dziwnie czystego i skromnego oblicza nie zdołam wymówić słów, dla powiedzenia których przybyłem.

Bystro spojrzała na pismo i odtrąciła je zlekka.

— Sama miałam dziś list od tej pani — rzekła drgającym goryczą, a stłumionym od wzburzenia głosem. Czy i pan tu przybywasz, wybawiać z toni tę „ofiarę moją?“

— Więc pani znasz Karola M.?

— Tak panie. Prześladuje on mnie już od dwóch miesięcy, mimo, iż mu wyraźnie mówię, jak bardzo mi to jest przykrem. Rzecz ta wogóle jedynie dlatego tak długo się przeciąga, że niestety, ja nie mam nikogo, ktoby się za mną ujął i umiał skutecznie odezwać się do bezczelnego młokosa, aby zaprzestał brzydkiej zabawy, na którą nie zasłużyłam niczem!

Słowa te w równej mierze mogły być blagą, jak prawdą; przygotowany byłem co prawda nawet na efektowniejszą obronę. Ważąc to w myśli, patrzyłem na dziewczynę z pod oka, przyczem stwierdziłem tylko, iż bije od niej prawość.

Cofnąłem się trochę z jakimś bezwiednym odruchem szacunku, i — trąciwszy przytem stolik, zrzuciłem coś na podłogę. Dziewczyna, zarumieniona, schyliła się szybko po przedmiot, ale uprzedziłem ją zręcznie.

Przedmiot ten, zawinięty w papier, był kawałkiem suchego, czarnego chleba, który przyniosła sobie z miasta — widać na kolacyę...

Ten „wampir,“ „demon“ rujnujący młodzież!

Oczy dziewczyny, co tylko ciskające pioruny, były teraz łez pełne. Odebrawszy chleb z rąk moich, odwróciła się milcząc, powoli odeszła do okna.

— No i cóż potem? — spytałem, gdy Władek nagle umilkł.

— A nic. Przyszedłem tutaj, ale mi jest gorzej, niż gdyby mnie samego zniewaga spotkała.

— Nie przeprosiłeś jej?...

Władek zmarszczył brew.

— Czyż zdołałaby wybaczyć?...

Popchnąłem go ku drzwiom. Co się dalej działo — nie wiem, ale jak się konflikt skończył — o tem wiemy wszyscy.



Sztuka kucharska
w Polsce.

Gdy jeszcze przodkowie nasi żyli w stanie pierwotnej prostoty, pożywieniem ich był kawał ugotowanego lub upieczonego mięsa, ziarno z początku surowe, później prażone lub gotowane, mąka przyprażona i ukropem zlana, placki zwane podpłomykami i tym podobne inne, zdrowe choć nie wybredne potrawy. Dzisiejsze potrawy naszego ludu wiejskiego, barszcz, żur, polewka, kluski, pierogi, rozmaite kaszy, jarzyny, grzyby, pochodzą także z bardzo dawnych czasów; niegdyś nawet możny szlachcic poprzestawał na nich, z tą tylko różnicą, że na stole jego skromne te potrawy bywały dobrze okraszone, podczas gdy chłopek zadawalniał się postnemi, i że główną część obiadu szlachcica stanowiła zwierzyna, najczęściej własną ręką gospodarza ubita, chłopek zaś jadał mięso bardzo rzadko, i to tylko w największe uroczystości. Lud wiejski z dawnemi zwyczajami aż dotąd przechował potrawy, jakich przed wiekami używał, ale u wyższych stanów sztuka kucharska doskonaliła się, postępowała i w niezbyt długim lat okresie doszła do wysokiego stopnia.

Kucharz na dworze znakomitego pana w Polsce była to nielada figura; miał patent napisany złotemi literami na pergaminie, wystawiony przez najsławniejszych mistrzów sztuki kucharskiej, ci zaś, dbając o swój honor, patentu takiego nie udzielali byle komu. Chcąc go uzyskać, trzeba było długie lata wycierać kąty po rozmaitych kuchniach dla większego wydoskonalenia, odbywać podróże za granicę, a nareszcie kończyć edukacyę w kuchni królewskiej a przynajmniej prymasowskiej. Wyzwoliny nakoniec poprzedzała uczta, którą kandydat musiał sam zarządzić i przyrządzić, a do tej uczty zasiadali ci właśnie najbieglejsi kuchmi-



Rozkoszne chwile.

strze, co mieli wydać wyrok i wystawić patent.

Wielcy panowie rok rocznie ogromne sumy wydawali na kuchnie. Do przyprawiania potraw, prócz miodu, maku, octów, soków i ziół przeróżnych krajowych i zagranicznych, używano z wielkiem upodobaniem korzeni i to w tak wielkiej ilości, że niejeden ze znamienitych dworów zakupywał je na raz za kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy złotych. Prócz tego woda różana, złoto malarskie, piżmo, niezbędnym było artykułem. W aptekach sprzedawano różne drogie olejki i esencye, w domu przysposabiano rozliczne ekstrakty i buliony. Szpiżarnie bywały bardzo obficie zaopatrzone, i to, co się tam zwykle znajdowało, z łatwością mogło było na rok cały dla kilku rodzin wystarczyć.

Wspomniemy tutaj niektóre potrawy, używane w dawnych wiekach przez stany średnie i wyższe. Wiele z tych potraw a mianowicie krajowych i tylko wydoskonalonych, przechowało się aż do naszych czasów, niektóre widujemy na naszych stołach pod innem nazwiskiem, inne wreszcie zaginęły.

Barszcz burakowy z rurą, postny lub zabielany, kapuśniak, krupnik z perłowa kaszą, rosół, zupa grochowa i szczawiowa, chołodziec litewski, zupy z piwa, z owoców, z pomidorów były w Polsce od wieków powszechne. Z tych barszcz, równie jak i dziś najbardziej bywał ulubionym. Dobrze przyprawiony zwano *królewskim*, która to nazwa przechowała się dotąd. Robiono także zupy z krwi gęsiej, wieprzowej, z jarzyn, buliony zaś z Francyi przywiezione, dopiero później nastały.

Po zupie dawano zwykle kiełbasę, potem różne mięsne potrawy, a najprzód sztukę mięsa, wołową u uboższych, z bawołu, tura, żubra, łosia, u panów. Z mięsnych potraw wiele zaginęło już bez śladu, a między temi gęś w czarnej jusze, do której sos robiono ze słomy palonej. Frykasy, pulardy, pasztety przybyły do nas z zagranicy. Pasztety ubierano figurami, przedstawiającemi zwierzęta, z których były robione, a figury te były złożone, lub też własnemi piórami albo siercią odziane i wyglądały jak żywe. Pieczyste przyrządzano z grubego zwierza, jakiego już wcale nie mamy, z ptactwa domowego i dzikiego. Skowronki były także jadane. Za przysmak poczytywano łapy niedźwiedzie i chrapy łosie, a skopowina nie śmiała pokazać się na znamienitszym stole. Do pieczystego dawano *kondymenty*, czyli sosy, a bywały one przeróżnego smaku i koloru, jedne lepsze od drugich.

W dnie postne głównem daniem były ryby. Dla smaku gotowano je w winie, a że przodkowie nasi byli bardzo skrupulatni w zachowywaniu postów, nie przyprawiano ich z masłem, lecz z oliwą lub olejem; pomimo to jednak przyznawali cudzoziemcy, że w żadnym kraju nie umiano tak smacznie ryb przyrządzać, jak w Polsce. Było kilku panów, co w pewnych razach, nie zdając się na kucharzy, sami gotowali ryby w srebrnych rądelkach. Aby mieć zapas ryb na każde zawołanie, bywały po dworach dobrze urządzone sadzawki, osobne na szczupaki, osobne na karpie. Te ostatnie przyuczano przybiegać do brzegu na odgłos dzwonka i karmiono z upodobaniem. Lubiono także i karmiono raki. Bobry do ryb liczono i w dnie postne robiono z nich kiełbaski i potrawki. Plusk, czyli ogon bobra najbardziej był ceniony.

Wysoko postąpiła u nas sztuka przyrządzania rozmaitych legumin, zacząwszy od pospolitych kaszy ze szwedami, aż do najwyszukańszych *antypaników*. Do pospolitszych należały *śliwki*, kluseczki, makiem zatarte, kołduny litewskie, makarony polskie i włoskie, pempuchy czyli pączki; więcej delika-

tne były andruty, płaskury czyli opłatki, *bliny* robione z mąki z prosa.

Jarzyny i ogrodowizny dziś używane, znane już były w Polsce za Zygmunta III. Marchew zwano naówczas *karotą*, rzepę *kolmikiem* lub bytomką, kapustę ogrodową *brzoskwią* a groch włoski — *cieciorką*. Najpóźniej przybyły do nas ziemniaki, za to upowszechniły się bardzo prędko, i w krótkim czasie stały się głównym kmiotka pokarmem. Sprowadzili je do Polski koloniści sascy, których August III. osadzał w dobrach królewskich. Polacy z początku brzydzili się ziemniakami i uważali je za szkodliwe zdrowiu, ale w końcu panowania tego króla, były już dobrze znane we wszystkich prowincyach, a wkrótce i wódkę zaczęto z nich wyrabiać.

Jaja stanowiły zawsze jeden z najważniejszych artykułów w sztuce kucharskiej, a używane były nie tylko jaja zwykłego drobiu, ale także pawie i łabędzie, rozumie się, na pańskich stołach. Potrawy z jaj miały rozmaite, dziś już nieznane nazwiska, jako to *fryty, pertuty, tretowany arumszmalc, szarpanina* itd.

Z użyciem mleka robiono przesławne *melchmusy, rosiaty,* arkaty, bianki. Za największy przysmak i arcydzieło sztuki kucharskiej uchodziła bianka z mleka słodkiego, migdałów, cukru, rosołu, opiekana w formach z wodą różaną i innemi pachnidłami, tudzież z marcypanem. Co dziwniejsza, wchodziły do niej także i wędzone ozory. Potrawę tę dawano na stołach królewskich; za Zygmunta III. tylko trzy razy podczas największych uroczystości.

Sztuka cukiernicza była w Polsce za dawnych czasów ściśle połączona z kucharską, tak, że kuchmistrz musiał być jednocześnie cukiernikiem, a na stołach królów i panów ustawiano dla ozdoby przepyszne wyroby cukiernicze. Na środku stołów znajdowały się największe i najwspanialsze, które podczas wielkich uroczystości, np. na ucztach weselnych, bywały arcydziełem w swoim rodzaju. Na uczcie weselnej Władysława IV-go zdobiły stół królewski dwie piramidy, z których każda miała po pięć łokci wysokości. Podczas innych uczt, mniej ważnych, piramidy bywały także niższe, niemniej przeto zrobienie ich wymagało sztuki i zręczności, a przedewszystkiem dowcipu, to bowiem, co miały przedstawiać, musiało być w związku z okolicznościami towarzyszącemi uczcie.

Jeżeli uczta dana była na cześć króla, dygnitarza lub sławnego wojownika, piramidy musiały składać się z obrazów, przedstawiających ważniejsze ich czyny. Na ucztach dawanych dla posłów, piramidy przedstawiały Olimp, gdy podejmowano biskupów i innych dygnitarzy Kościoła, były ozdobione infułami, krzyżami, pastorałami itp. Posłowie tureccy przyjmowani na dworach panów polskich, poznawali nieraz w piramidach widok Stambułu, lub wizerunek sułtana, otoczonego dworem i t. p.

Starano się także, aby piramidy przedstawiały obrazy wesołe przy ucztach wesołych, a smutne przy pogrzebowych. W późniejszych czasach zdobiono piramidy różnokolorowemi lodami, które topniejąc w miarę ciepła panującego w pokoju, odsłaniały inne widoki. Tak więc kuchmistrz robiący piramidy, musiał być nietylko zręcznym i biegłym w swojem rzemiośle, ale poniekąd musiał także mieć pewne wiadomości z historyi, i nie mógł się obejść bez znajomości herbów szlacheckich, gdyż te były wszystkie niezbędnym warunkiem całości. Piramidy ustawiano na płytach szklanych lub drewnianych, posypanych piaskiem cukrowym i ozdobionych stosownie, rozmaitego rodzaju figurami.

Najważniejszą częścią każdego większego obiadu był także sekret kucharski, np. kapłon w flaszy, ryba nigdzie nierozkrojona ze smażoną głową, pieczonym ogonem, i z sosem w środku ryby, z mięsem kurzem itd.

Najznamienitszą zaś każdej uczty przyprawą była gościnność gospodarza i gospodyni, cnota, którą przodkowie nasi tak bardzo słynęli i która jest dla nas o wiele droższą po nich spuścizną, niż te wszystkie kucharskie sekreta i cała sława uczt przepysznych.

S. N.

O nocy błoga! ty chłodzisz swem tchnieniem
Skroń rozpaloną,
Ty kryjesz żary przed mojem spojrzeniem
Białą zasłoną;
Wszystko, co ziemskie, aż do serca bicia,
Uciszasz we mnie
I unoszącym mnie porywem życia
Mówisz: „daremnie!“
I tak mnie trzymasz, jakby urzeczoną
W swej srebrnej mocy,
Aż duszę moją ukoisz wzburzoną,
O cicha nocy!
M. Konopnicka: „Z nocy letnich.“

* * *

Wierzymy, Panie! O, wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił, jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy, Panie!
K. Ujejski: „Akt wiary.“

„HURRA!“

Obrazek z niedawnej przeszłości.

(Rok 1863).

Wesołem słonkiem świecą lazury,
A wietrzyk lekki igra z rośliną,
Nie czerni błękit ni cieniem chmury,
Gdy gdzie się wymkną, w tropy tuż giną.
Tam, hen, na prawo, w sinej oddali,
Oblicze szkliste Gopła bieleje!
A z drugiej strony w swej modrej fali
Wspaniała Wisła błyskami sieje!
Kujawskie smugi w środku zaległy,
Co czarną skibą łakomią oczy...
Odwieczne dzieci tu i tam zbiegły,
A Gopło lśni się... Wisła się toczy —
Od wstęgi Wisły po Gopła brzegi,
Wije się bystry skrawek granicy,
Jak strasznej rany krwawiące ściegi,
Co swojem cięciem grożą tętnicy...
Po tamtej stronie tej ciężkiej blizny,
Toczy się walka z mongolską zgrają,
Do boju spieszą dzieci ojczyzny;
Z wszystkich zakątków w szeregach stają.
Czy to z pałacu dziecię magnata,
Czy też z mieszczańskiej wyszło drużyny,
Czy go wydała słomiana chata,
Idą, jak wierne ojczyzny syny. —
A tu, z tej strony, bliżej lub dalej,
„Wierny przyjaciel“ strzeże granicy,
Aby się przez nią nie przemykali
Wielkopolanie ze swej dzielnicy!
Z takiej przysługi oddział ułanów
Powracał właśnie drogą żwirową,
Wśród kołyszących zbożowych łanów,
Powoli, porą popołudniową.
Większą połowę drogi przebyli,
Widna już w dali Kujaw stolica,
Przejażdżkę całą próżno odbyli,
Próżna przy siodle zwita pętlica —
Więc złość nadludzka pierś im rozsadza,
Bo brak dowodu wiernej przysługi —
Co wszystko jasno twarz ściągła zdradza,
I z wrogich oczu pobłysków smugi.
Właśnie skończyli popołudniową
Przekąskę, ludzie, co przy żwirówce
Wozili ziemię i znów z gotową
Siłą powstały te pracy hufce.
Zgrzytnęły kółka taczek popchniętych,
Sapnął robotnik, bo przed nim góra,
A z przodownika piersi wygiętych,
Zabrzmiało hasło: „Wiarusy hurra!“
„„Hurra, Wiarusy!?... to krzyk powstańców,
— Zachrapiał żwawo głos oficera —
Widoczne bunty!““ — i wśród szturchańców,
Biednego człeka z sobą zabiera.
Do dwóch go koni za ręce troczą,
I żwawym truchtem już teraz spieszą!
A bose stopy wnet się krwią broczą,
Nie mogąc zdążyć, żwir ostry krzeszą...

Biedną istotę raz gniotą konie,
Kiedy je jeźdzcy ku sobie zwrócą,
To znów mu ledwie nie wyrwą dłonie,
Gdy je przeciwnie od siebie rzucą.
I tak do koszar z śmiechem przybyli,
Biedną ofiarę, co potem zlana,
W celi odwachu na noc zamknęli,
Gdzie bez posiłku czeka do rana...
Rano naradę nad nim odbyli,
Gdy nikt zwolnieniu się nie przeciwi,
Więc go z więzienia tuż wypuścili,
Na pal nie wbili!... Co za poczciwi! —
Że tam półtrzecia leżał tygodnia,
Że go jak piłką rzucą ograżka,
Że gorżał nie raz jakby pochodnia,
I cóż to szkodzi!?... toć to igraszka!...

Sz. Ostoja.



Z kosza redaktorskiego.

Kosz redaktorski? Grób talentów niedoszłych. Straszne słowo w odpowiedziach redakcyi. Symbol władzy redaktorskiej. Narzędzie dreszczem przejmujące adeptów dziennikarstwa lub literatury. Pomysł „z piekła rodem". Przyrząd, o którym myśl włosy na głowie podnosi.

Nurzam prawicę moją we wnętrznościach potwora.

Poezya i to goryczy pełna:

„Wzgardzam tobą za to, żeś piórem
Chciał się wywyższyć do szczytu sławy,
Wzgardziłam za to, żeś mnie chciał przybrać
Wieńcem zieleni mizernej trawy!"

Co za potęga słowa, co za siła argumentacyi, co za rymy!

Albo zaraz potem wyciągam „Scherzo":

„Ty się gniewasz, mój aniele!
Iskry sypią oczy twoje,
Na błękitnem twojem ciele
Iście skaczą krucze zwoje!
Piąstki niby małe młotki
Rade choćby wytłuc ząbki..."

Nie, to się nie godzi poniewierać w koszu „błękitne ciało", na którem iście skaczą krucze zwoje, a którego piąstki rade wytłuc ząbki! Jakże odrzucać wiersz tak zręcznie zbudowany, że go można dowolnie czytać: albo oczy sypią iskrami, albo iskry sypią oczami — jak kto chce!

Żal mi wirtuoza, nie mam jednak czasu płakać nad nim, bo zaintrygowało mnie mocno pytanie, na drobnej, pachnącej karteczce drobniutkiem pisemkiem podane:

Zabawy zimowe.

„Ośmielam się spytać pana redaktora, jakim sposobem wygubić włosy na ciele?"

— Proszę pani, nie wiem i redaktor zapewne nie wiedział, więc muszę pytanie zostawić bez odpowiedzi, pomimo gotowości do usług dla płci nadobnej— tak się przynajmniej domyślam.

Czy się szkuta z poetami rozbiła, czy co? bo oto jeszcze jeden wiersz mam pod ręką:

„Jest jedna rzecz na świecie,
Przed którą nikt nie uciecze;
Nią jest tak śmierć zwana,
Przez nas wszystkich oczekiwana:
Jednego ona w młodych latach porywa,
Drugiego w kwiecie wieku na pojedynek wyzywa,
Trzeciego zaś w sędziwych latach odwiedza,
Co też przez każdego z nas się potwierdza.

Zdaje się, że w danym razie odgadłem myśl redaktora, na jakiej podstawie ów wiersz świetny, tak pięknie istnienie śmierci potwierdzający, nie poszedł do druku, lecz do kosza. Oto przed laty istnieli już poeci znakomici, jak np. Baka i Soter Rozbicki, którzy na temat podobny pisali. Nie warto więc rzeczy już znanych powtarzać.

A może i warto?

Uwaga! bo oto kroczy rozszalały symbolista:

„W fantastyczności, ja bujałem świecie
O zwrotnikowe, oparłszy błękita
Kędy gwiazd wąwóz, pierścieniem się plecie,
Szczyty goreją, płomieniami świta
Paszczęka wilka, tygrysa, pantery

Dziką wścieklizną, rozpaczy drgający
Łamie portyków, marmurowe sfery
I dysząc ciska, jak gadu ziejący!“

Już mniejsza o polot niebotyczny, już mniejsza o rymy tak świetne, jak: błękita — świta, pantery — *sfery*, ale ów nowy sposób przecinkowania w środku każdego wiersza wart był chyba uwzględnienia. A jednak i to oddał redaktor na pastwę koszowi!

„Królowo mego serca,
Słóweczko jedno: tak
U nóg małych wmiast kobierca
W tej chwili się znajdę — wszak.“

Tak się zaczyna inny wierszyk, wydobyty przezemnie na świat Boży z kosza redakcyjnego i, przyznam się, że gdyby ten pan Wszak, pragnący znaleść się pod nogami *wmiast* kobierca, zwrócił się był do mnie, to umieściłbym wytwór jego wyobraźni na łamach mego pisma. Niestety, redaktorem nie jestem.

Ale oto znów pytanie prozą:

„Będę sz. Panu niewymownie wdzięczną, gdy zechce mi odpowiedzieć na następujące pytanie: Co jest przyczyną porostu wąsów i brody u kobiet!“

Nie wiem, dlaczego redaktor pytanie to zostawił bez odpowiedzi i wrzucił je w dodatku do kosza. Ja, przyznam się, odpowiedziałbym krótko: Włosy — i byłby wilk syt i koza cała.

Zaraz potem wyciągam z kosza pytanie, dowodzące, jak drogie są u nas słowniki oraz metody języka francuskiego.

„Czy można używać słowo francuskie „s'il vous plait“ przy każdem zdaniu? Czy też ono znaczy proszę siadać?“

I na to pytanie zmuszony jestem odpowiedzieć za redaktora. Otóż „s'il vous plait“ nie znaczy: proszę siadać, ale używa się, proponując co komuś, przez grzeczność.

Tak np. jeżeli powiemy: *Que le diable vous emporte, canaille* — i dodamy: *s'il vous plait* — to będzie grzecznie.

Poezya kwitnie w koszu redaktorskim. Oto jeszcze przykład:

„Kocham naturę, uwielbiam sztukę,
Unikam ludzi —
Zetknięcie się z nimi
Myśl moją brudzi...“

Przeczytawszy wierszyk ten do końca, przekonałem się, że autor sam siebie szkaluje, bo — mojem zdaniem — myśl jego świeża jest, zielona, jak trawa na wiosnę. Wierszyka nie podaję — dla braku miejsca.

Westchnąłem z głębi duszy, krótko jednak, bo prawica ma sięgnąwszy do kosza, wyciągnęła zeń ćwiartkę, od której oczu oderwać nie mogłem, która myśl mą pochłonęła całkowicie:

Perła, powiadam, perła! Tytuł jej: Tygrys. Oto ją macie w całości:

Tygrys wypada z lasu,
Robiąc dużo hałasu;
Wpada wprost na Hiszpana,
Tnie go w oba kolana.
Hiszpan na ziemię jak długi,
Z czoła leją mu się krwi strugi,
Ręką kordelas dobywa
I w tej chwili dogorywa.

Jak on umarł w środku nocy,
Nadchodzi oddział pomocy,
Zwierzowi mężnie czoło stawia
I godzinę go zabawia,
A po tej zabawnej nocy
Tygrys o swojej nie mógł wstać mocy.
Cztery łapy wyciągiwa
I w tej chwili dogorywa!

We wstępie autor zaznacza, że to jest próbka talentu zaczynającego poety. Nie, stanowczo redaktor nie poznał się na talencie, ukrytym w duszy początkującego poety. Taki skarb w koszu, powiedzcie! ???

Wiadomości.

* **Bal.** W sobotę 13-go lutego odbędzie się na białej sali bazarowej w Poznaniu bal na rzecz Towarzystwa Czytelni Ludowych, na który już dzisiaj ze względu na cel, na jaki zabawa urządzoną zostanie, zwracamy uwagę szanownej publiczności i prosimy o liczny współudział.

Doniesienie w dziale inseratowym z wymienieniem gospodyń i gospodarzy balu umieszczone zostanie później we wszystkich codziennych pismach tutejszych.

Zarząd Towarzystwa Czytelni Ludowych w Poznaniu.

* **Zabawa zimowa Towarzystwa Przemysłowców** (starych) **na św. Łazarzu** odbędzie się w niedzielę, dnia 31-go stycznia r. b. o godz. pół do 8-mej wieczorem na sali „Zameczku“ (Feldschloss) przystanek kolei elekt. ul. Głogowska 54, — na którą zwracamy szczególną uwagę Szanownej Publiczności oraz zaproszonym gościom. Z bardzo wesołego i nadzwyczaj urozmaiconego programu wyszczególnić należy: oprócz pięknych deklamacyi, śpiewy solowe, znakomite kuplety o „Łazarskim bruku“ i t. p., oraz ciekawe humorystyczne nieme widowisko: „Zemsta żebraka.“ Prócz tego odegrane zostaną dwie sztuki, arcykomiczna krotochwila: „Dwóch głuchych“ i „Ulica nad Wisłą.“ Po przedstawieniu taniec. — Ceny miejsc bardzo umiarkowane. — Program tak obfity przemawia sam za licznym udziałem Szan. Gości, czego się też ku życzliwości naszej spodziewamy. Zaproszenie prosimy zabrać z sobą!

Zarząd.

* **Opatentowany wynalazek.** Dowiadujemy się, że kapitalista p. Julian Trzebiński z Poznania uzyskał za pośrednictwem biura patentowego pp. Knopa i Himera z Poznania patent Rzeszy niemieckiej (D. R. P.) nr. 206,483 i 16 patentów obcokrajowych na fortepian smyczkowy z ramą smyczkową do klawiatury i strun, na dół i do góry się poruszającą.

* **Kurs korespondencyi** w szkole wieczornej Towarzystwa Przemysłowego rozpoczął się; przyjmuje przecież jeszcze uczniów, o ile starczy miejsca.

Ułożyć treść listu tak, aby jedna myśl w logicznym związku była z drugą, aby zdanie jasnem było i zrozumiałem, a jeśli o to chodzi, przekonywającem; nadać mu styl piękny i formę właściwą tak, aby był składny i ładny — to główne zalety, z któremi zapoznać nas ma bliżej nauka korespondencyi.

W zakres nauki tej włącza się rozmaite sposoby pisania listów w sprawach prywatnych, przemysłowych, kupieckich, urzędowych i t. d.

Lekcye odbywają się w poniedziałki i czwartki od 8—10-tej wieczorem w lokalu szkolnym przy ulicy Wrocławskiej 35 II.

Za kurs trwający do Wielkanocy płacą biorący udział 3 marki. Zgłoszenia przyjmuje skarbnik nasz pan Włodzimierz Adamski w Bazarze.

Dyrekcya Towarzystwa Przemysłowego w Poznaniu.

Prof. A. Drygas, prezes. **Józef Zevland,** sekretarz.

* **Ze sprzedaży** kart gratulacyjnych i kondolencyjnych, zastępujących telegramy, wpłynęło w dalszym ciągu do kasy skarbniczki, pani drowej Kusztelanowej w Poznaniu z miasta i prowincyi 90 mrk. 85 fen.

* **Dla biednej wdowy** na wykupienie maszyny do szycia nadesłała pani G. Donimirska ze Sztumskiego w Prusach Zachodnich 5 mrk.

* **Kórnik.** W mieście naszem odbyło się świeżo przedstawienie amatorskie za staraniem miejscowego Bractwa strzeleckiego na nowej sali p. Ellmanna (hotel Wiktoryi). Wystawiono piękny utwór dramatyczny p. t. „Na naszej glebie.“ Sztukę tę patryotyczną i narodową odegrali amatorzy i amatorki znakomicie. Po przedstawieniu rozpoczęły się tańce; bawiono się ochoczo, zgodnie i harmonijnie aż do rana. Amatorom za ich trudy i mozoły składa serdeczne „Bóg zapłać.“

St. M., jeden z gości.

* **Gniezno,** dnia 25. I. 1909. Towarzystwo Młodzieży Kupieckiej w Gnieźnie urządza w niedzielę dnia 31-go stycznia r. b. na sali hotelu Europejskiego przedstawienie amatorskie; odegranym będzie „Czartowska ława,“ obraz dramatyczny w 4-ch aktach przez A. Galasiewicza. Początek przedstawienia punktualnie o godz. pół do 8-mej. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. O łaskawe liczne przybycie wszystkich nam życzliwych prosi

Zarząd.

* **Z Prus Zachodnich. Wiec „Straży“ w Brodnicy Z. Pr.,** który w przeszłą niedzielę z powodu od nas niezależnego wypadł, odbędzie się na pewno w tę niedzielę **31-go stycznia o 2-giej godz. po poł.** na sali p. Jacobsohna w Brodnicy; celem założenia miejscowego towarzystwa „Straży.“

O liczny i punktualny udział w zebraniu rodaków miejscowych i z okoli-

cy, a zwłaszcza szanowne niewiasty uprzejmie prosi

Bolesław Bardzki, starosta.

* Z Tczewa (Prusy Zachodnie). — Otrzymaliśmy gorącą prośbę od niżej podpisanego Komitetu, którą dla braku miejsca zamieszczamy w skróceniu:

„Towarzystwa nasze same z siebie bez poparcia i pomocy nie mają tyle środków materyalnych, by lokal sobie zapewnić, to jest dla nas i wszystkich tych, którzy znają stosunki tutejsze, niezaprzeczenie jasną rzeczą! — Kochanym Rodakom wiadomo, że przy teraźniejszych stosunkach, mianowicie tu w Tczewie — dominująca i coraz bardziej wzmagająca się nienawiść hakatystyczna względem wszystkiego co polskie, a mianowicie przeciw polskim towarzystwom — nie pozwoli na to, abyśmy dostali jakikolwiek lokal. Wszystkie też lokale znajdują się w rękach nam nieprzyjaznych — a oczy hakaty czuwają nad tem, aby przypadkiem ktoś się nie poważył dać nam lokalu.

„Pod takiemi warunkami rozwój i istnienie naszych towarzystw prawie niemożliwe na przyszłość i na rozchwianie i zanik skazane.

„To też by nie zadać śmiertelnego ciosu uświadomieniu ludu polskiego w Tczewie i okolicy, powziął Komitet myśl postarania się o środki materyalne, by **módz wybudować choć skromny lokal z salą dla naszych towarzystw** — tak zwany **Dom polski.**

„Nie mając sami żadnych funduszów, postanowiliśmy udać się do całego naszego społeczeństwa polskiego i poprosić je o pomoc w tej naszej biedzie.

„Apelujemy więc do ofiarności tych szlachetnych serc polskich, w których uczucie polskości i narodowej łączności odzywa się pełnem życiem, by się tą miłością ku nam przejęły i nam z pomocą materyalną na ten cel pospieszyły.

„Wszystkie Redakcye gazet naszych są tak łaskawe i chętnie przyjmować będą składki na ten cel — a można też je przysyłać pod adresem: **Bank Ludowy E. G. m. u. H. w Tczewie (Dirschau) ul. Berlińska 8 III.**“

Komitet.

A. Swiniarski. J. Kamiński. J. Struczyński. B. Zimny. Fr. Klawikowski. W. Nowak. M. Wojciechowski. M. Bielski.

Nekrologia.

† Ś. p. ks. dr. Antoni Stachowski, emeryt, umarł w Kościanie dnia 20-go b. m. w 76-tym roku życia, a w 49-tym kapłaństwa. Za rok byłby się doczekał złotego jubileuszu. Zmarły był cierpiącym człowiekiem, a jednak dożył poważnego wieku. Śp. ks. Stachowski przez całą walkę kulturną był w Poznaniu kapelanem u Sióstr Miłosierdzia przy kościele Przemienienia Pańskiego, poczem przeniósł się do Kościana na emeryturę. — **Ś. p. z Dalskich Ida Kullakowa**, dnia 18-go b. m. w Poznaniu, w 88-ym roku życia. — **Ś. p. Władysław Baranowski**, dnia 18-go b. m. w Poznaniu (w Jeżycach), przeżywszy lat 63. — **Ś. p. Pelagia Tybiszewska**, dnia 18-go b. m. w Głuchowie (Król. Polskie). — **Ś. p. Kazimierz Drwęski**, dnia 21-go b. m. w Warszawie. — **Ś. p. Marya z Niewiteckich Drwęska**, dnia 21-go b. m. w Poznaniu. — **Ś. p. Wojciech Grudzielski**, dnia 22-go b. m. w 56-tym roku życia w Czarnotulu pod Kwieciszewem. Zwłoki złożono do grobów rodzinnych w Gozdowie pod Wrześnią. — **Ś. p. Stanisław Kujawa**, dnia 22-go b. m. przeżywszy lat 64, w Poznaniu. — **Ś. p. Stanisław Tyrakowski**, dnia 23-go b. m. w Michałowie, przeżywszy lat 57. Pogrzeb odbył się w Wielkim Strzelcu dnia 26-go b. m. — **Ś. p. Anna z Lewaldów-Jezierskich Kukucka**, dnia 23-go b. m. w Poznaniu, w 63-cim roku życia. Pogrzeb odbył się w Trzemesznie dnia 27-go b. m. — **Ś. p. z Preibiszów Wiktorya Hertmani**, dnia 22-go b. m. w Kurnatowicach, przeżywszy lat 78. Pogrzeb odbył się dnia 27-go b. m. w Sierakowie. — R. i. p.

Od Redakcyi.

— **Panu J. S. w Hamme.** — Nie posiadamy. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— **Pani N. N. w Poznaniu.** — Z nadesłanych nowelek zamieścimy nowelkę p. t. „Grajek“ w jednym z najbliższych numerów.

— **Panu Janowi B. w R. (Górny Śląsk).** — Za zagadki, któremi jesteśmy formalnie zasypani, dziękujemy i zasyłamy miłe pozdrowienie.

— **Panu Ig. N. w K. (Prusy Zachodnie).** — G. Smólski, Wien XIV., Goldschlagstrasse nr. 80.

— **Pani Kornelii Pl. w Ś. (Prusy Zachodnie).** — Dziękujemy za łaskawą pamięć, ale wiersz jest tak słaby co do formy, że zamieścić go nie możemy. Zasyłamy miłe pozdrowienie.

— **Panu Wład. S. w miejscu.** — Notatka nadesłana nadaje się do działu ogłoszeń.

— **Pani Bercie B. w B. (Górny Śląsk).** — W księgarni św. Wojciecha w Poznaniu przy św. Marcinie.

— **Panu I. P. P.** — 1) Numera życzone, o ile były jeszcze w zapasie, wysłaliśmy. Powieść „Na skrzydłach Ikara“ nabyć Szan. Pan możesz za naszem pośrednictwem za 1 mrk. Najlepiej przesłać należytość w znaczkach pocztowych. Odbitki powieści „Jeden z moich synów“ nie posiadamy. 2) Salon Sztuk Pięknych był dawniej w Poznaniu w Teatrze polskim w tem samem miejscu na pierwszem piętrze, gdzie teraz jest bufet; na obecnem miejscu znajduje się co najmniej od czterech lat. 3) Muzeum polskie jest na razie zamknięte z powodu przebudowy.

— **Panu K. J. w Chw.** — Udaj się Szan. Pan po informacye do C. K. Sekretaryatu Uniwersytetu we Lwowie lub też w Krakowie.

— **Panu L. w Witkowie.** — Za reklamy i ogłoszenia redakcya nie bierze odpowiedzialności. W każdym razie przyznajemy Szan. Panu zupełną racyę. Gazety nasze wciąż nawołują do hasła: „Swój do swego,“ a nasi kupcy i przemysłowcy są nieraz tak wygodni, że nawet nie dają odpowiedzi na list osobie, chcącej u nich zamówić towar, jak w tym przypadku Szan. Panu. Takie traktowanie publiczności bezwzględnie potępić należy. Pocztówkę Pańską odesłaliśmy interesowanej firmie.

— **Panu Józefowi Z. w Krakowie.** — Cieszy nas niepomiernie, iż Szan. Pan jest „bardzo zadowolony z „Pracy.““ Numer pierwszy „Pracy“ z roku bieżącego, który Szan. Pan otrzymał od naszej Administracyi jako „dublet,“ może Szan. Pan sobie zatrzymać względnie doręczyć kółku znajomych, celem zachęcenia ich do zaabonowania „Pracy.“

— **Wielebnemu Ojcu Bernardynowi Fr. M. we Lwowie.** — Co do cennika na kanarki prosimy udać się wprost do p. J. Jasińskiego. Początek powieści „Czarna ręka“ wysłaliśmy.

Kalendarzyk historyczny

Dnia 31-go stycznia 1610 poselstwo moskiewskie pod Smoleńskiem wzywa na tron królewicza Władysława. — 1617 wyprawa Władysława na odzyskanie tronu moskiewskieego. — 1667 śmierć hetmana Jerzego Lubomirskiego. — 1676 sprowadzenie zwłok Jana Kazimierza do Krakowa.

Dnia 1-go lutego 1411 pokój z Krzyżakami w Toruniu. — 1676 pogrzeb Jana Kazimierza i Michała Wiśniowieckiego. — 1733 śmierć Augusta II. — 1717 sejm niemy kończy konfederacyą tarnogrodzką.

Dnia 2-go lutego 1421 posłowie czescy zapraszają na tron Władysława Jagiełłę. — 1523 Zygmunt I. ustępuje część posagu Izabeli, matce Bony. — 1676 koronacya Jana Sobieskiego. — 1705 Szwedzi uchodzą do Częstochowy. — 1717 wojska saskie muszą ustępować z Polski. — 1772 konfederaci barscy zdobywają Kraków.

Dnia 3-go lutego 1018 Bolesław W. zawiera traktat pokoju z Niemcami w Budyszynie. — 1280 pobicie Lwa, księcia ruskiego pod Gośliczem. — 1633 Władysław IV. przybywa na koronacyą do Krakowa. — 1793 protestacya przeciw wkroczeniu Prusaków do Polski. — 1831 sejm uchwala formacyą legionów litewsko-ruskich.

Dnia 4-go lutego 1339 sąd na Krzyżaków w Inowrocławiu. — 1454 Prusacy oddają się pod opiekę Polski przeciw uciemiężeniu Krzyżaków. — 1633 pogrzeb Zygmunt III. — 1710 sejm w Warszawie po wypędzeniu Szwedów.

Dnia 5-go lutego 1189 synod w Krakowie. — 1657 uchwała sejmowa względem powiększenia wojska kwarcianego.

Dnia 6-go lutego 1296 zabicie w Rogoźnie Przemysława. — 1582 Polacy ustępują z pod Pskowa. — 1633 koronacya Władysława IV. — 1831 manifest Mikołaja z powodu detronizacyi.

Humor i satyra.

Różnica.
(Przy fortepianie).

Panna (grająca): No, przyznaj pan, że to całkiem co innego, aniżeli automat, grający za wrzuceniem 10 fenygówki....

Pan (słuchający): Tak, ale automat odegra i... przestaje.

* * *

Zawiedziona.

— Cóż to Kasiu, odchodzisz?

— Odchodzę.

— Dla czego?

— Myślałam, że mi pani da na gwiazdkę aksamitne okrycie, a ona mi dała wełnianą sukienkę, przecież nie sposób u takich skąpców wytrzymać.

* * *

Córka a towar.

Do znanego hurtownika Mosesa Spiegla przychodzi młody eleganckki „facet“ i prosi go o rękę córki.

— Dobrze, zgadzam się, pan mi się podobasz — mówi p. Spiegel — niech pan bierze moją córkę.

— A możebyśmy odrazu zrobili interes — proponuje przyszły zięć — jabym u pana dla mojego interesu zakupił partyę sukna; proszę mi przysłać n. p. 10.000 metrów najlepszego kamgarnu...

— No — mówi p. Spiegel — co do tego, to ja muszę zasięgnąć najprzód informacyi o panu.

* * *

Odwrót.

Ona: Wyobraź sobie Jasiu, mój ojciec zbankrutował!

On: To do niego podobne — zaraz sobie pomyślałem, że uczyni wszystko, co leży w jego mocy, aby przeszkodzić naszemu małżeństwu.

* * *

Nasze służące.

Pani: No, świadectwa dotychczasowe Marynka ma nie bardzo pochlebne...

Marynka: To szczególne, bo moja pani, gdziem ostatni raz była, powiedziała, że dopiero jak się mnie dobrze pozna, to się pokaże, że świadectwa są nadzwyczaj świetne.

* * *

Złośliwy.

— Jak się pan bawił wczoraj w teatrze?

— O, wspaniale! — w antraktach w bufecie.

* * *

Między małżonkami.

On. Dlaczego napisałaś na zaproszeniach, że to będzie tylko skromna herbatka?

Ona. Bo chciałam mieć z góry pewność, że będę najpiękniej ubrana.

* * *

Mniejszy globus.

Mały Lajbuś prosił swego ojca, aby mu kupił globus do nauki geografii. Ojciec po długich naleganiach zdecydował się zaprowadzić Lajbusia do księgarni, gdzie sprzedawali globusy.

— Proszę dla mego syna dać, jak to się nazywa Lajbuś?

— Globus — mówi Lajbuś.

— Globus, i co kosztuje?

— Cztery marki.

— To za drogo — mówi ojciec.

— Ale to jest z całej kuli ziemskiej — mówi cicho Lajbuś.

— Na co ci cały ziemi — proszy mi dać globus tylko z Europą tymczasem.

* * *

Potęga miłości.

— Panno Zofio, miłość moja dla pani jest potężną, bez granic!...

— Czy być może?

— Miłość ta pochłania mnie zupełnie, obraz pani mam ciągle przed oczyma, tak, że nawet w czasie zajęć biurowych zasnąć nie mogę.

* * *

Na Chwaliszewie.

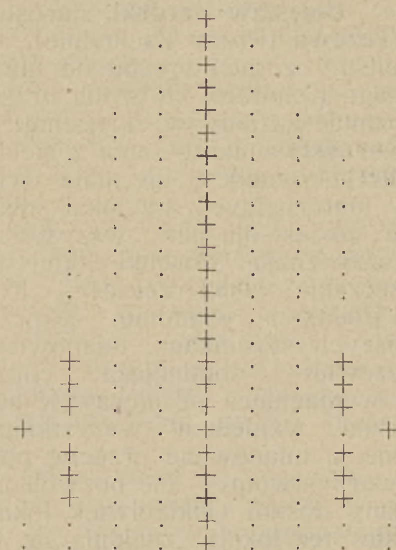
— Słyszała kochana pani Maciejowa?! Sklepikarka Kwasińska wydaje córkę za mąż: szlachcic, ślusarz, majster.

— Co też pani mówi?! Za trzech odrazu chce dziewuchę wydać. A to obraza boska!...

Łamigłówka.

Ułożył czytelnik „Pracy“, J. Kopczyński z Gołuchowa pod Turskiem.

Kropki i krzyżyki zastąpić literami tak, aby rządek krzyżykowy, środkowy, czytany z góry na dół, wykazał nam imię i nazwisko wielkopolskiego magnata, literata i członka pruskiej Izby panów oraz nazwę głównej miejscowości jego majętności, a boczne krzyżyki, czytane z lewej strony ku górnej prawej, wykazały nam wielkie Towarzystwo polskie i główną tegoż siedzibę, powstałe z jego inicyatywy i będące pod jego prezesostwem.



ZNACZENIE WYRAZÓW.

1. samogłoska, 2. inaczej walka, 3. miasto w Rosyi, 4. zwierz drapieżny, 5. nazwa wiatru, 6. miasto w Galicyi, słynne z niedawnej uroczystości, 7. miejsce słynne z bohaterskiej obrony w starożytności, 8. dawny urząd w Polsce, 9. znane wydawnictwo w Warszawie, 10. stopień oficera marynarki, 11. imię męskie, 12. nazwisko mel. artys. pochodzenia włoskiego, 13. nazwa dygnitarza tureckiego, 14. inaczej burza, 15. miasto w Hiszpanii sławne klasztorem z XIII wieku, 16. urzędnik sądowy, 17. nazwa pola, 18. nazwa tytoniu rosyjskiego, 19. wyrażenie pogardliwe, 20. kobiety słynne z urody i śpiewu, 21. roślina znana z goryczy (drugi przypadek) 22. pochód uroczystościowy, 23. głośny wulkan w świecie.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 6-go lutego włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nadesłały dokładne rozwiązanie tak łamigłówki jak też poszczególnych wyrazów.

Rozwiązanie łamigłówki, zamieszczonej w nr. 3-im:

E d **G** a r
V e r d i
e **o** l
a s **t** r a
S t a f f
F a **ł** a t
s r **o** k a
P u l **k** o w o
Z a w **i** c k i
I r e n a
k t o
z a m **k** o w a
k a r y **a** d y t a

Grota Łokietka.

Dobre rozwiązanie nadesłali: pp. J. K. Dłuski z Poznania, Jadwiga Badura z Rożdzienia (Górny Śląsk), Jan Skałuba z Mogiły pod Krakowem, W. Kubanowski z Berlina i Z. Kusztelski z Wiednia.

Nagrodę otrzymali: pp. J. K. Dłuski z Poznania, W. Kubanowski z Berlina i Z. Kusztelski z Wiednia.

Czarna ręka.

Powieść amerykańska. Tłumaczyła z angielskiego **E. M.**

6 (Ciąg dalszy).

Mówiąc to, uścisnął rękę Boba, skinął głową dziewczynie i patrzał za nimi, aż zniknęli na square des Innocents. Potem wyjął z kieszeni kartkę, na której wymalowaną była czarna ręka, znak Mafiosów i zbliżył się do latarni. Przez chwilę wpatrywał się w kartkę tak, jak gdyby chciał się treści jej nauczyć na pamięć, w końcu wydobył z bocznej kieszonki surduta trochę tytuniu, zawinął go w kartkę, ukręcił papierosa i zapalił. Po upływie kilku minut nie było ani śladu kartki Mafiosów.

Chociaż miał teraz dosyć pieniędzy na opłacenie noclegu w hotelu, nie spieszył się z tem wcale. Zawinął się mocniej w stary, wytarty płaszcz, odszedł kilka kroków dalej i nie spuszczał oczu z wejścia do „hotelu.“ Nie długo potrzebował czekać. Dyrektor policyi i towarzysz jego wyszli znów na ulicę, i wsiedli do doróżki.

— Grand Hotel, Place del' Opera, — zawołał młody człowiek, wyraźnym angielskkim akcentem.

Dorożka odjechała.

John uśmiechnął się zadowolony.

— Nie zaszkodzi nic, — rzekł sobie w duszy, — jeżeli się obejrzę trochę za Buttlerem i jego przyjaciołami. Może się przy tej sposobności odznaczę. Cieszę się, że nie potrzebuję już pilnować Boba — kocham tego chłopaka, lecz obawiam się, że dozna on wiele jeszcze przykrości w życiu.

Potem oddalił się z dotychczasowego stanowiska i znikł w sklepie jakiegoś winiarza.

— — — — — — — — — — — —

Gazety amerykańskie zajmowały się zawsze jeszcze eksplozyą na pokładzie „Następcy tronu,“ w chwili, w której zarzucono w porcie kotwicę. Pasażerowie pierwszej klasy zamierzali właśnie opuścić kajuty, podczas kiedy podróżni drugiej klasy musieli jeszcze załatwiać rozmaite formalności, jakiemi Stany Zjednoczone usiłują przyjezdnym utrudniać wstęp na ich ziemię.

Nagle dał się słyszeć przerażający huk i zaraz potem wydobywały się z okien snopy białego dymu. Przypuszczano początkowo, że pękł jeden z kotłów, ale okazało się wnet, że maszyny wszystkie były w porządku. Załoga przygotowywała się już także do opuszczenia okrętu — nic więc nie było dziwnego, że eksplozya ta wielkie wywołała zamieszanie i że nie zaraz znaleziono miejsce, na którem powstała. Podróżni i majtkowie biegali bezładnie i bezradnie po całym pokładzie i trwało rzeczywiście dosyć długo, zanim kapitan jaki taki porządek przywrócił. Zaraz potem okazało się, że wybuch nastąpił na dole i że cele więzienne oraz dwie spiżarnie zupełnie zniszczonemi zostały. Perosini sam szukał i badał — lecz najpierw pobiegł na pokład i tu dowiedział się, że trzech majtków obcych weszło przed dziesięcioma minutami na pokład i ofiarowało swe usługi przy wylądowaniu. Jeden z nich zeszedł nawet na dół.........

Zamach udał im się znakomicie.

I takie wywołał wrażenie, że zajmowano się nim więcej niż niewyjaśnionem dotąd zniknięciem Ewy Lenis. Bo wykazało się przy dalszych jeszcze poszukiwaniach, że przy okazyi wybuchu uciekło z więzienia na okręcie dwóch złodzieji, i że trzeci ich wspólnik pomagał im przy ucieczce. Perosini wiedział teraz napewno, że tym trzecim nie mógł być nikt inny jak stary Fisch.

Wszystkie gazety zarzucały policyi brak energii i sprężystości wobec rozzuchwalonej Czarnej ręki i biedny prezydent Mac Olsey dużo musiał znosić przykrości.

Pewnego pochmurnego i zimnego dnia siedział on razem z Perosinim w swojem biurze urzędowem na Honston-Street i radził z nim o sposobie odnalezienia Ewy.

Perosini był dziś zły i zdenerwowany — Mac Olsey trzymał ołówek w ustach i gryzł go tak, jak gdyby chciał na nim wywrzeć cały swój gniew.

— Możesz mi pan wierzyć, — rzekł, wyjmując na chwilę ołówek z ust, — jeżeli nie uda nam się wnet odszukać tej dziewczyny, to miejsce moje djabli wezmą. Lenis nie zna żartów, a od niego ostatecznie zależy wszystko! Co mu powiesz, gdy tu przyjdzie?

— Nic!

— To nie wiele.

— Ale ja rzeczywiście nic nie wiem, a na czcze frazesy szkoda mi czasu!

W tejże chwili odezwał się dzwonek. Jeden z policyantów w przedpokoju pobiegł do drzwi i zaraz potem wszeł Morton Lenis do biura.

Milcząc usiadł na fotelu i spojrzał pytająco na prezydenta i na detektiwa.

Obydwaj milczeli.

Wtedy król kolei wstał i rzekł ostro i pogardliwie:

— Nigdy nie miałem o was zbyt wysokiego pojęcia, ale tyle niedołęstwa jednak wam nie przypisywałem. Nie ma nic głupszego na świecie jak kiedy kto nie zna się na swoim zawodzie. Kilku włóczęgew schwytać na ulicy — to umiecie, i na tem kończy się też wszystko. Ale Morton Lenis nie pozwala żartować z siebie — przekonasz się wnet o tem, panie Mac Olsey!

Lenis schudł znacznie — szyja jego stała się jeszcze cieńszą, twarz bledszą, a odrobina siwych włosów, jaką miał dotąd nad uszami, znikła zupełnie.

Gdy umilkł, wstał Perosini także i zbliżył się do niego.

— Panie Lenis, — rzekł łagodnie, — daj mi pan jeszcze trzy miesiące czasu.

— Czemu nie lepiej trzy lata?

Perosini udawał, że nie słyszy tego.

— Daj mi pan trzy miesiące czasu, — powtórzył i daj mi dwadzieścia tysięcy dollarów. Spróbuję raz jeszcze!

— Idź do djabła z twemi próbami, — krzyknął Lenis uniesiony złością. — Wiem, że chodzi wam jedynie o moje pieniądze!

Twarz Włocha gorącym pokryła się rumieńcem.

— Myślisz pan? — rzekł wyniośle. — W takim razie zatrzymaj twoje pieniądze. Zacznę szukać córki pana własnym kosztem, ale słuchaj pan — nie mam najmniejszej ochoty wyrządzenia za darmo przysługi człowiekowi, posiadającemu tyle milionów, jak pan. W dniu, w którym złożę ci dowody śmierci twej córki, dasz mi sto tysięcy dollarów i zapłacisz wszystkie wydatki, jakie ponosić musiałem. W dniu zaś, w którym oddam ci córkę żywą i zdrową, zapłacisz mi okrągły milion!

Lenis przymrużył oczy.

— Aż do kiedy ma to być? — zapytał nieco łagodniej.

— Od dziś za rok stawię się u pana!

— Mówiłeś poprzednio trzy miesiące.

— Widzę sam, że to za mało.

— All right!

Lenis skinął głową i wyszedł. Prezydent uścisnął serdecznie rękę detektiwa.

— Nie zobaczę pana pewnie tak prędko, — rzekł.

— Wszystko zależy od tego, jaki sobie plan ułożę.

— — — — — — — — — — — —

W rybackiej chacie nad Hudsonem siedziało znowu całe towarzystwo Mafiosów. Okiennice starannie były pozamykane, drzwi zaryglowane, i na ławce przed chatą siedział rybak, palący fajkę i na wpół śpiący. Pomimo to jednak patrzał bystro na wszystkich przechodzących tędy, aby w razie niebezpieczeństwa ostrzedz zgromadzonych.

Młody jakiś człowiek, zajmujący się widocznie czyszczeniem butów na ulicy, postawił pudło z przyborami na ziemi i zdawał sprawę z swoich spostrzeżeń. Słuchacze bardzo byli zajęci jego opowiadaniem.

— Nie może być inaczej, — kończył młodzieniec. — Torstbak uprowadził dziewczynę, a Morcha, który mu pomagał, zamordował go potem i zabrał zdobycz dla siebie. Inaczej nie byłby dostał dziewczyny w swoje ręce.

— Uprzedził nas, — odezwał się jeden z obecnych.

— Nie rozumiem tylko, w jakim celu więzi dziewczynę. Wiecie, że chciał się z nią ożenić i zmusić Boasa do dania mu ślubu. Ale i to nie miałoby sensu, bo ślub byłby czy tak, czy owak nieważnym.

— W kraju, w którym dollar wszechwładnie panuje, jest wszystko możliwe, — zawołał przełożony stowarzyszenia, zwany Capo, którego godność oznaczała czarna czapka o szerokim czerwonym brzegu.

Młodzieniec umilkł natychmiast, lecz na znak przywódcy zaczął znów po chwili:

— Boas sam nie wie, czy dał ślub podług wszelkich formalności, czy nie. Twierdzi on, że był tak całą tą sprawą, a mianowicie wiadomością o popełnionem morderstwie przerażony, że nie wiedział, co robi.

Jeden z starych Mafiosów roześmiał się głośno.

— Miał on dawniej zimniejszą krew i więcej odwagi, — rzekł. — Corpo di Bacco! W Nebrasce, gdy się jeszcze Kollmanem nazywał, był on najdzielniejszym złodziejem koni i nie cofał się przed niczem. Życie człowieka żadnej dla niego nie miało wartości.

Capo podniósł rękę na znak, że chce mówić. W izbie zapanowało głębokie milczenie.

— Słuchajcie bracia, — zaczął teraz Capo, — po raz pierwszy ciężkie spotykają nas ciosy. John Bob i Bernard nie zdziałali w Europie nic i na okręcie popełniali jeden błąd po drugim. Bob miał zabrać kosztowności pewnej kobiecie — kradzież — hm — nie ładnie to brzmi, ale cóż robić — potrzebujemy pieniędzy! Nie udało mu się! Wszyscy trzej muszą za to pokutować — lecz mam nadzieję, że w przyszłości wypełni John lepiej obowiązki, jakie na niego nasze stowarzyszenie nakłada. Uprowadzenie córki miljardera nie udało się z powodu zdrady — zdrady w naszym związku, i zdaje się, że i zdrajcy ukarać należycie nie zdołamy! Torstbak miał ją oddać w nasze ręce — bylibyśmy dostali ogromny za nią okup — a Marcha zabił Torstbaka i porwał dziewczynę. Czemu? Na co?

W tejże chwili dało się słyszeć ciche pukanie do drzwi.

Capo umilkł — drzwi otworzyły się i do izby wszedł wysoki, tęgi mężczyzna. Był to ten sam, który przybył po Boasa, aby go zaprowadzić do ustronnego domku i zmusić do dania potajemnego ślubu Ewie Lenis i mordercy nieszczęśliwego Torstbaka. Pozdrowił wszystkich skinieniem głowy i zwrócił się natychmiast do przełożonego.

Capo wstał z krzesła.

— Przynosisz nam rozwiązanie zagadki, — rzekł.

Twarz nowoprzybyłego zachmurzyła się, a oczy nabrały wyrazu strachu, nie odpowiadającego wcale jego silnej, olbrzymiej postaci.

— Obawiam się mistrzu, — odpowiedział cicho, — że nie przynoszę jej!

Oczy Capa błysnęły złowrogo.

— Wiesz, przed kim stoisz, — zawołał groźnie. — Wiadomo nam, że zmusiłeś Boasa, aby jechał z tobą do domu, w którym znajdował się Marcha. Potem znikłeś bez śladu, a my kazaliśmy umieszczać wszędzie rękę i znak półksiężyca, chcąc ci wskazać drogę do nas. Wracasz teraz i nie wiesz, gdzie Marcha?

Im dłużej mówił Capo, tem większe przerażenie ogarniało olbrzyma. Stał jak winowajca z spuszczoną głową i nie śmiał nawet spojrzeć na surowego przywódcę.

— Marcha oszukał mnie tak, — odrzekł nareszcie, — jak oszukał cały nasz związek. Był on moim przełożonym i musiałem go słuchać. Jakże miałem wiedzieć, że kłamie i zdradza mnie?

Mafiosy zaczęli go teraz wypytywać o najrozmaitsze szczegóły. W izbie powstał zgiełk i hałas, lecz Capo wnet nakazał milczenie.

— Mów dalej, — rozkazał olbrzymowi.

— Musiałem pastora rozmaitemi krętemi drogami zawieść napowrót do jego domu. Marcha przyrzekł mi, że zaczeka na mnie, lecz gdy wróciłem, już nikogo w domu nie było. Uciekł!

— A ty?

—Domyśliłem się zaraz, że nie wszystko jest w porządku, lecz przypuszczałem, że oddalił się może na odebrany w tym czasie rozkaz mistrza. Jak dziki Indyanin albo jak pies badałem ślady nóg na ścieżce, i tak doszedłem aż do Cypress Hills. Tam zgubiłem je wprawdzie, lecz dowiedziałem się, że pojechali dalej prostym wozem aż do Ridgewood. Tutaj byliby mi znów o mało co uszli, przypadkiem jednak spotkałem jednego z naszych, który ich widział i od niego usłyszałem, że udali się doróżką do jednego z hoteli na Broadway. Nie wiedziałem teraz, co robić. W końcu pojechałem za nim, napisałem kilka słów, wymalowałem na arkuszu czarną rękę i posłałem mu list do numeru w hotelu..........

— I co dalej?

— Kazał mi powiedzieć, że czeka na mnie w barze. Czekałem pół godziny, godzinę, zniecierpliwiłem się i poszedłem do hotelu, w którym mieszkał. Ale tu ich już nie było. Nikt nie zauważył ich wyjścia. Zdawało się, że stali się niewidzialnymi!

Capo spojrzał przenikliwie na mówiącego.

— Piłeś w barze? — zapytał.

Bill milczał.

— Odpowiadaj!

— Tak! — brzmiała cicha odpowiedź Billa.

— Znasz nasze prawo, które zakazuje Mafiosom używania w czasie służby wszelkich gorących trunków?

— Tak!

— Więc znasz także twój wyrok!

Równocześnie padł strzał. Bill podniósł ręce i padł jak złamane drzewo twarzą na ziemię.

Capo nie chybiał nigdy.

ROZDZIAŁ X.

W wytwornie urządzonym salonie siedziała Nora w krześle na biegunach i przeglądała ilustrowane pisma. Ale myśli jej błądziły widocznie daleko, bo przewracała karty nie patrząc wcale na nie i raz po raz podnosiła głowę, nasłuchując, czy ktoś nie idzie.

Czekała na Perosiniego.

I właśnie wyciągnęła z za paska po raz setny może mały, brylantami wysadzany zegarek, gdy w zamku zgrzytnął klucz, drzwi otworzyły się i Perosini stanął na progu.

Z okrzykiem radości zerwała się Nora, zrzuciła pisma na ziemię i pobiegła ku ukochanemu.

— Nareszcie! — zawołała. — Z jakiem upragnieniem oczekiwałam twego przyjścia!

Perosini przycisnął ją do serca i ucałował gorąco białą, śliczną twarzyczkę.

— Może lękałaś się nawet o mnie? — zapytał z uśmiechem.

— Naturalnie! Masz wielu nieprzyjaciół, a Mafia jest tu wszechpotężną!

Perosini rozśmiał się.

— Myślę, że oni więcej się mnie boją, niż ja ich! Inaczej nie byliby usiłowali zwabić mnie fałszowanym telegramem na Palacyą!

— Nie udało im się jednak......

— Dzięki twemu ostrzeżeniu w ostatniej chwili. Bo chociaż usłyszałaś tylko krzyk mewy — to już wystarczało! Gdybyś jeszcze była widziała sygnały, dawane z naszego okrętu, byłbym łatwiej odczytał odpowiedź na znalezionym kawałku papieru.

Mówiąc to pogładził czule jej bujne, jasne włosy.

— Kobieta tak inteligentna jak ty, — rzekł, — nie powinna się niczego obawiać!

— Pochlebiasz mi, ale nie przekonasz mnie. Widziałam chmurę na twojem czole, gdy wszedłeś.

— Obserwujesz mnie uważnie, a jednak tym razem omyliłaś się! Nie troska, tylko gniew męczy mnie! Od czasu jak te przeklęte Niemcy — przepraszam — nie chciałem obrażać twoich rodaków, wysunęły mi się z rąk, niepowodzi mi się tak jak dawniej. Co do Mafii mam stanowczo nieszczęście. Odegrałem dziś bardzo smutną rolę wobec pewnego miliardera. Mogę stracić jednym zamachem i sławę i to trochę majątku, który uzbierałem tak mozolnie dla nas obojga.

Boże mój, co się stało? —

W krótkich słowach opowiedział jej wszystko, co się odnosiło do Ewy i jej ojca.

— Widzisz sama, — dodał w końcu, — że nie pozostaje nam nic innego jak znaleść Ewę, inaczej nie możemy o ślubie myśleć jeszcze! Chcesz mi i tym razem pomódz?

Nora z nieograniczoną miłością spojrzała na niego.

— Czy zawiodłam cię już kiedy? — szepnęła.

Perosini ucałowa jej ręce.

— Nie, najdroższa, — zawołał, — wiem, że mogę zawsze i wszędzie liczyć na ciebie. Musimy przedewszystkiem namyślić się nad tą sprawą. Że Ewa znikła tak zupełnie bez śladu — hm — możnaby przypuszczać, że nie żyje. Mafiosy nie mieliby żadnego interesu w zatrzymywaniu jej tak długo — żądaliby jak najprędzej wysokiego okupu i oddaliby ją ojcu. Obawiam się, że ona w przystępie rozpaczy sama sobie odebrała życie!

Lecz Nora zaprzeczyła mu żywo.

— Nie, — rzekła, — nie wierzę w to wcale, chociaż śmierć Torstbaka mogła na niej okropne wywrzeć wrażenie. Że Mafiosy jej nie mają w swych rękach, to jasne. Musi tam być jeszcze ktoś trzeci!

Perosini skinął głową.

—Bardzo słusznie, ale kto jest ten trzeci? Czy uprowadził Ewę z jej pozwoleniem — czy porwał ją przemocą?

— Tego nie wiem, ale mamy silnych i potężnych sprzymierzeńców i za ich pośrednictwem dowiemy się prawdy!

— Kto taki?

— Mafiosy!

— Kto?

— Mafiosy! Ktokolwiek bądź uprowadził córkę Lenisa, zyskał sobie w Mafiosach śmiertelnych wrogów. Wiesz, że Czarna ręka dosięgnie wszędzie swych nieprzyjaciół.

— Cóż ztąd! Nie mogę ich przecież prosić o pomoc!

— Ty nie, ale ja! Rozłączę się na pozór z tobą i stanę się członkiem ich związku. Odemnie dowiesz się wszystkiego, czego ci będzie potrzeba!

— Nigdy! Nigdy nie.........

Perosini nie dokończył rozpoczętego zdania, w tejże bowiem chwili zadzwonił ktoś silnie. Nora wybiegła i wróciła zaraz z telegramem od prezydenta policyi, zawierającym następujące tylko słowa:

„Znaleziono zamordowanego. Jest to bez wątpienia członek Mafii. W kieszeni miał adres pastora Charles Brasa.“

— — — — — — — — — — — —

Pomiędzy Ameryką i Europą, o 500 mil od naszej półkuli, leży, jak punkt w nieskończonej morskiej przestrzeni, wyspa Graciosa. Jest to wyspa należąca do Azorów — dostępną zaś jest tylko z jednej strony i to wtenczas tylko, jeżeli morze zupełnie jest spokojne. Rzadko kiedy zjawia się tu jaki okręt, raz po raz przybywają jedynie poławiacze wielorybów, którzy na sąsiedniej wyspie robią tran z upolowanych morskich olbrzymów. Mieszkańcy Graciosy żyją tu jak na pustyni — miasteczko Praya jest całym ich światem. Nie znają ludzi i nie troszczą się o nic; uprawiają pole i dla rozrywki polują na dzikie gołębie, które w niezliczonych stadach zamieszkują nadbrzeżne skały.

Ale w ostatnich czasach pojawili się tutaj turyści. Na statku poławiaczy wielorybów, nieurządzonym wcale do przewożenia podróżnych, przybyło dwóch panów. Jeden z nich był stary, drugi bardzo młody jeszcze. Obydwaj zamieszkali u pewnego Portugalczyka, zajmującego się hodowlą bananów, lecz pomimo nadzwyczajnej ciekawości, nie mogli się mieszkańcy miasteczka niczego o nich dowiedzieć. Starszy mężczyzna, o żółtej twarzy i przenikliwych czarnych oczach, umiał tak zręcznie odpowiadać na wszelkie pytania, że pytający wiedział potem tyle, co przedtem, lecz po raz drugi nie śmiał już nikt pytać. Młodszy, szczupły, nadzwyczaj delikatny chłopiec, nie umiał ani słowa po portugalsku i był tak zawsze smutny i zamyślony, że wszelka rozmowa z nim była niemożliwą. Starszy powiedział konsulowi angielskiemu, który tu raz z Fayal przyjechał, że dla wzmocnienia zdrowia swego młodego towarzysza i siostrzeńca zamierza w Praya pewien czas pozostać. Łagodny klimat i zupełna samotność ma wyleczyć jego nadwyrężone i słabe nerwy.

— — — — — — — — — — — —

(Ciąg dalszy nastąpi).



Rozczarowanie.

16

Powieść z spółczesnego haremu tureckiego.

(Ciąg dalszy.)

— Aha! Bezwątpienia historya o nowej współpracowniczce twej książki. Bo podobno jakaś współpracowniczka nam nieznana ma istnieć!!

— Tak i w tem nie ma ani słowa prawdy. Zapewniam was! Oprócz was trzech i kilku czarnych postaci, które same przedstawiłyście mi...

— Ależ myśmy nigdy w to nie wierzyły, ani moja siostra ani ja... Ale Dżenana, zdaleka od nas... W odosobnieniu łatwo sobie coś wyobrazić.

— A ona — dorzucił Andrzej — wyobraziła sobie tyle rzeczy, że na seryo rozgniewała się na mnie.

— Nie śmiertelnie! — rozśmiała się Melek śmiejąc się. Nie wydaje się tak przynajmniej!... Przeczytaj to co mi dziś rano pisze.

Wskazała mu jedno miejsce w liściε, końcowe zdanie, którego nie miał czytać, podwinąwszy.

„Powiedzcie mu — czytał — że bez przerwy o nim myślę, że jedyną moją radością na świecie jest pamięć o nim. Zazdroszczę Wam tutaj. Zresztą nie mogę zdobyć się na nic innego. Zazdroszczę Wam tych chwil, które z nim spędzacie i tego, co obecność jego daje Wam. Zazdroszczę Wam, że tak blizko niego jesteście, że możecie spotkać spojrzenia jego oczu, że możecie uścisnąć jego rękę!... Nie zapomnijcie o mnie, będąc razem. Żądam przypadającej na mnie cząstki Waszych spotkań i Waszego niebezpieczeństwa.“

— Zdaje się — rzekł Andrzej po przeczytaniu — że nie zachodzi tu wypadek nienawiści na zabój!...

Starał się o ile możności mówić w lekkim, niedbałym tonie, ale uwagi, jakie zrobiła Melek, przekonały go i zaniepokoiły go daleko więcej aniżeli list odebrany od Dżenany. W tych kilku wierszach nie było literatury; wszystko było proste i jasne... I jak poprostu pisała to wszystko do swych kuzynek, podczas gdy zadawała sobie tyle pracy, aby osłonić jaknajwięcej wyrzuty i wyznania w swych listach miłosnych!...

A zatem, wbrew jego oczekiwaniu, zaszła zmiana w tej spokojnej, oryginalnej przyjaźni zeszłorocznej z trzema kobietami, które przewrotnie zdawały się stanowić jedynie trójcę nierozerwalną. Obecny stan rzeczy budził w nim obawę ale zarazem podniecał go. Nie umiał w tej chwili powiedzieć sobie czy milszym mu był dawniejszy czy teraźniejszy stan rzeczy!

— Kiedy ona powraca? — pytał jeszcze.

— W pierwszych dniach maja — odparła Zeyneba. — Jak w roku zeszłym mamy zamieszkać w naszym „jali“ na azyatyckim brzegu. Według naszego planu jeszcze jedno lato — ostatnie — pragniemy przebyć tam społem, jeźli wola władców naszych nie rozdzieli nas przez wydanie za mąż przed jesienią... Mówię „ostatnie“ lato, bo przyszła zima zabierze mnie z pewnością a one obie wyjdą niezawodnie za mąż w ciągu lata!

— No, to jeszcze zobaczymy! — rzekła Melek posępnie i hardo.

Nie mniej dla Andrzeja miało to być ostatnie lato nad Bosforem. W ostatnich dniach listopada kończyły się obowiązki jego w ambasadzie i postanowił zdać się na los, poniekąd z fatalizmu i poniekąd dlatego, że są rzeczy, których najlepiej nie przedłużać zbytnio zwłaszcza, gdy nie mogą mieć innego końca jak bolesny lub karygodny. Bardzo smętnie przeto witał nadchodzący sezon nad Bosforem, w którym kursowały pięknie przyozdobione kaiki na szafirowych wodach wzdłuż obu brzegów przed ładnemi domami z zakratowanemi oknami lub w którym odbywały się najwięcej interesujące wycieczki do doliny „dygnitarza“ i w góry azyatyckiego wybrzeża.

Wszystko to raz jeszcze miało powtórzyć się i potem skończyć bez nadziei, aby kiedykolwiek miało wrócić.

XXXVII.

W kwietniu odbywał Andrzej spacery po Stambule i Ejub lub dumał w Sułtan-Fetih przed małą kawiarnią na wolnem powietrzu, nie bacząc na zimne wichry które jeszcze powróciły i przyniosły śnieżne zawieje.

Pierwszy maj minął a Dżenana nie donosiła kiedy opuści swój stary pałac. Pisywała rzadko tylko i lakonicznie. Zeyneba i Melek utrzymywały, że powróci wkrótce.

Andrzej widywał je rzadziej niż dawniej, bo Zeyneba chorowała trochę a Melek straciła prawie całkiem humor wskutek grożącego jej zamążpójścia. Zresztą strzeżono je o wiele baczniej w tym roku. Ale pisywały do Andrzeja, który odpowiadał zawsze tylko kilku słowy jeźli wogóle nie zaniedbał odpisania. W tym wypadku siostry pozwalały sobie robić mu skromne wymówki jak np. w tym liście:

Kaffim-Basza, 5 maja.

„Szanowny przyjacielu! Cóż zaszło? Jesteśmy zaniepokojone, my biedne Twe przyjaciółki. Gdy dni upływają bez Twego listu, smutek jak ciężki płaszcz cięży na nas i grozi nam zaduszeniem. Wszystko ciemnieje: morze, niebo i nasze serca. Jednakże nie uskarżamy się, bądź pewnym. Pragniemy tylko powtórzyć Ci, że jesteś naszym wielkim i jedynym przyjacielem.

„Czy jesteś obecnie szczęśliwym?

„Zależnie od tego, co życie człowiekowi daje, czas upływa mu szybko lub wlecze się żółwim krokiem. U nas wlecze się zawsze! Istotnie nie wiemy po co jeszcze istniejemy na świecie? Może dla tej jedynej przyczyny, aby być jaknajwięcej oddanemi, wiernemi niewolnicami Twemi do śmierci i po za grób.“

Zeyneba i Melek.

Dnia 9 maja zawiadomiono Andrzeja w ambasadzie o corocznych przenosinach do Terapii jako blizkich. Dla niego równało się to prawie zupełnemu opuszczeniu Konstantynopola....

Prócz obcych poselstw cały dystyngowany świat robił zwykłe przygotowania do ogólnego opuszczenia miasta i przenosin na letnie wywczasy.

XXXVIII.

Przeszedł maj a Dżenana nie wróciła ani nie pisała kiedy powróci. Pierwszego czerwca Andrzej, który znajdował się znowu w zeszłorocznem mieszkaniu w Terapii, mówił sobie, budząc się pod przepięknem słonecznem niebem, jak to jednak szybko czas bieży. Zaledwie pięć miesięcy pozostawało mu w tych stronach! Myśl o rozłączeniu dręczyła go niemal ciągle.

Ale nastrój jego wypogadzał się ile razy stanął w obliczu natury. Wtedy zapomniał chwilowo o swych przykrych refleksyach dotyczących przyszłości i oddawał się cały uciechom wynikającym z piękności przyrody, któremi teraźniejszość otoczyła go tak obficie.

Pierwszą wycieczkę odbył do doliny „dygnitarza“, gdzie w roku zeszłym przeżył urocze chwile. Niestety nie miał teraz przyjemnego towarzystwa, w którem bywał wtenczas, dlatego nie bawił tam zbyt długo. Następnego dnia był zajęty swym nowym kaikiem. Zawiadomiono go, że czółno świeżo ozłocone przybyło ze Stambułu i znajduje się przed jego oknami a wioślarze pragną przymierzyć nowe liberye.

Przez ostatnie lato na wschodzie pragnął posługiwać się w piątki przy wycieczkach do Słodkich Wód świetnie przystrojonem czółnem. Dlatego skombinował barwy czysto oryentalne: kamizele wioślarzy i długie zwieszające się dywany były z karmazynowego aksamitu ze złotemi naszyciami, a na dywanie po turecku siedzący służący miał lazurowe odzienie ze srebrnemi naszyciami. Gdy załoga przywdziała się w te kostyumy, Andrzej udał się nad brzeg, aby przekonać się czy zestawienie tych barw dobrze przedstawia się na wodzie. Egzamin wypadł zadowalająco. Wyciągnął się w kaiku i najprzód odbył próbną wycieczkę do cypla azyatyckiego lądu. Wycieczka ku jego wielkiej radości udała się doskonale.

Wieczorem dnia tego odebrał list od Zeyneby, która naznaczała mu schadzkę na dzień następny przy Słodkich Wodach, jedynie w celu skrzyżowania kaików. Nadto pisała, że wszystko coraz niebezpieczniej się układa; podwojono służbę pilnującą ich i zabroniono im przejażdżek w smukłej łodzi, w której zwykle same wiosłowały wzdłuż brzegów. Jednakże w skargach Zeyneby nie było nigdy goryczy. Chętnie oddawała się rozmyślaniom o swej śmierci.

W przypisku dodawała, że biedny stary Mewlut, (eunuch z Etyopii), „pozwolił sobie umrzeć“ w 83-im roku życia, co jest prawdziwem nieszczęściem, bo wychowawszy ją kochał ją niezmiernie i nigdy nie zdradziłby jej ani za srebro ani za złoto. I ona kochała go; był on niejako członkiem rodziny.

— Pielęgnowałyśmy go — pisała — tak jak dziadusia.

Ale to ostatnie słowo było przekreślone i na to miejsce było ręką Meleki wpisane powyżej: „starego wujcia.“

— — — — — — — — — —

W następny piątek Andrzej udał się po raz pierwszy w sezonie do Słodkich Wód w swym kaiku. Kilkakrotnie przejechał obok swych dwóch przyjaciółek, które również zmieniły farby liberyi wioślarskich z niebieskich na zielone ze złotem. Obie były w czarnych czarszafach z wualami nawpół przejrzystemi lecz zapuszczonemi na twarze.

Inne ładne kobiety, również czarno zawualowane odwracały głowę, aby mu się przyjrzeć — kobiety, które w współleżącej postawie przejeżdżały na wodach, gdzie dnia tego roiło się od tajemniczych gości. Wszystkie te niewidzialne osoby zajmowały się nim być może dlatego, że czytały jego książki, albo że inne kobiety wskazały go im. Kto wie czy z kilkoma z pomiędzy nich nie rozmawiał w zeszłym roku, nie widząc ich twarzy, przy okazyi tajemniczych schadzek z trzema przyjaciółkami.

Tu i owdzie pochwycił baczne spojrzenie lub przyjazny uśmiech, zaledwie widzialny pod czarną gazą. Widocznie także podobało się ogólnie zestawienie liberyi, przez niego wymyślone. Kaik sunął, mieniąc się karmazynem i lazurem po zielonych wodach pomiędzy seledynowemi łąkami i ciemną zielenią drzew.

Wszyscy dziwili się temu Europejczykowi, który przedstawiał się jako prawdziwy syn wschodu.

A on, nieraz iście dziecinny, bawił się tem i cieszył, że zwracał uwagę nadobnych nieznajomych i może potajemnie zaprzątał ich myśli przez swe książki, które właśnie w tym roku miały w haremach wiele czytelniczek.

Andrzej kazał zaczepić kaik u stoku wzgórza, zajętego przez uczestników i uczestniczki tego korsa na wodzie. Wysiadł na ląd, by w cieniu drzew wypalić nargile i z góry obserwować ruch panujący na wodzie. W tej chwili oddawał się całkiem iluzyom młodzieńczym i wszystkie dręczące myśli opuściły go.

XXXIX.

List Dżenany, który Andrzej Shery odebrał w następnym tygodniu.

Dnia 22 czerwca 1905.

„Jestem nad Bosforem, Andrzeju, tak jak Ci przyrzekłam i czekam tutaj niecierpliwie chwili naszego spotkania. Czy chcesz udać się w czwartek do Stambułu i stawić się w domku mej dawnej mamki w Sułtan-Selim około drugiej? Wolę tam w tym domku spotkać się z Tobą niż u mych przyjaciółek w Sułtan-Fatih, bo ustronie to było świadkiem naszych pierwszych schadzek.

Włóż fez na głowę i zachowaj zwykłą ostrożność, nie wchodząc wpierw zanim nie ujrzysz wiadomego znaku: koniuszka białej chusteczki przy kracie okna na pierwszym piętrze. W przeciwnym razie spotkanie niemożliwe niestety! I może na długi czas!... Wtedy zatem idź zwolna do końca uliczki i nawróć potem jakbyś pomylił się w drodze.

Spotkania nasze napotykają w tym roku na większe trudności. Żyjemy w ciągłym niepokoju.

Twoja przyjaciółka

Dżenana.

W ten czwartek Andrzej Shery zbudziwszy się doznał jeszcze większej przykrości niż zwykle przejrzawszy się w zwierciadle. Bo musiał sobie powiedzieć, że od zeszłego roku znacznie się postarzał...

Byłby wiele dał za to, aby nie był nigdy zakłócił pokoju swej przyjaciółki, ale myśl, że przed jej oczyma ukaże się zestarzałym, była mu nieznośną.

Przybywszy do Stambułu, udał się zaraz do Sułtan-Selim, myśląc nad tem czy ona przerazi się więcej jego wyglądem czy on jej zmianą? Wszedłszy w martwą uliczkę ujrzał zaraz znany znak, więc wszedł śmiało do domku, gdzie zastał czatującą za drzwiami Melek.

— Czy są u góry? — spytał.

— Tak, obie. Oczekują cię.

W progu małego, ubogiego haremu, zastał Zeynebę z odsłoniętą twarzą. A w głębi, w cieniu stała Dżenana, która zaraz zbliżyła się do niego szybko i podała mu rękę z radosnem: „witam!“

— Tak, to ona była! Poznał jej łagodny, melodyjny jakby zdala napływający i muzykę przypominający głos. Lecz oczu jej zielonkawych nie zobaczył ani łuków brwi przypominających madonę „dolorosa“ ani czystego zarysu jej twarzy. Nic!... Wual wszystko to osłaniał tak nieprzeniknioną siatką jak w pierwszych dniach ich znajomości.

Z obawy, czy nie posunęła się za daleko, księżniczka biała cofała się do swej wieży z kości słoniowej. A Andrzej wnet zrozumiał, że każda prośba będzie bezowocną, że we-

lon ten nie podniesie się już nigdy, chyba że jakie tragiczne zajście zmusi ją do tego. Miał uczucie, że wraz z okresem ukrywanej sympatyi ich, skończyły się wesołe czasy a odtąd zbliżają się do nieuniknionego dramatu.

CZĘŚĆ SZÓSTA.

XL.

Jednakże przeznaczenie chciało, że mieli jeszcze spędzić razem chwile pozornego pokoju. Wprawdzie lipiec minął bez spotkania; ani zdaleka nie mogli się zobaczyć przy Słodkich Wodach. Zresztą w tym miesiącu panują w Konstantynopolu największe wichry i burze, podczas których Bosfor jest od rana do nocy pokryty białą pianą. Przez ten czas Dżenana zaledwie była w możności pisać do Andrzeja, tak ściśle strzegła każdego jej kroku stara, zgryźliwa ciotka, która przybyła z Erywanu i nie znosiła wycieczek w kaiku jeźli woda nie jest tak gładką jak lustro.

Ale na szczęście stara ta pani na początku sierpnia wyniosła się... a przez resztę lata panowało prześliczne powietrze. Andrzej i trzy jego przyjaciółki bywali znowu regularnie przy Słodkich Wodach Azyi a prócz tego spotykali się często w Stambule w starym domku. Pozornie wszystko było tak jak w ubiegłym lecie, pominąwszy niedostępny czarny welon Dżenany, lecz w ich duszach były nowe, niewyjawione jeszcze uczucia, których nie zdawali się jeszcze być pewnymi a które w toku rozmów ich spowodowały nieraz dłuższe milczenie. W roku zeszłym mówili sobie: „mamy jeszcze przed sobą drugie lato!“ podczas gdy teraz wszystko biegło do końca, ponieważ Andrzej miał w listopadzie opuścić Stambuł i nie opuszczała ich myśl o tem zbliżającem się rozłączeniu. Jednakże wszyscy zgodzili się na to, że pozostały okres czasu trzeba o ile możności jaknajwięcej wyzyskać. Najprzód zatem mówili sobie: raz jeszcze wspólnie wybierzemy się do lasku Beiko a potem odbędzie się pielgrzymka razem do grobu Nedżiby. Dla Andrzeja — który w tym roku więcej niż dawniej myślał o zmarłej, zwłaszcza w początku każdego miesiąca, dzień pierwszego września był dniem jakimś nadzwyczajnym, bo wydawało mu się, że stanowić będzie pełen znaczenia termin w jego do schyłku zbliżającem się życiu.

Lato poczynało ustępować a on myślał z grozą o zimie.

A jednak jak wspaniałym był ten ranek! Jaki niezamącony spokój spoczywał nad Bosforem. Ani wietrzyk nie dawał się uczuć a im wyżej wznosiło się słońce, tem piękniejszem było powietrze. Na wodach płynęły teraz długie szeregi żaglowców, ciągnione przez parowiec. Były to tureckie okręty z dawnych czasów, mające coś nakształt ostoi na tylnym pokładzie, pomalowane jaskrawo ze wszystkich stron: okręty, jakich nigdzie już nie można zobaczyć tylko tutaj. Ze zwiniętemi żaglami płynęły powoli do Czarnego Morza, które także dnia tego spoczywało cicho ku zdziwieniu wszystkich znających zwykły jego charakter.

Popołudniu Andrzej udał się w swym kaiku do Słodkich Wód, gdzie wszystko kąpało się w złotych blaskach słońca. Przejechał kilka razy obok czołna swych przyjaciółek i pochwycił niejedno przyjazne spojrzenie nadobnych, lekko tylko zawualowanych kobiet.

Wieczorem przy nieporównanie pięknej pogodzie i sceneryi powracał wzdłuż azyatyckiego brzegu. Kaik mknął jak strzała przy silnych uderzeniach wioseł. Andrzej całą piersią oddychał balzamicznem powietrzem wieczornem i radość życia zbudziła się w nim znowu. Dusza jego niejednokrotnie podobna do otchłani niezadowolenia i zniechęcenia zmieniła się nagle i czuł się młodym, gotowym do najróżniejszych romantycznych spraw.

Tego wieczora zabrał z sobą do kaiku Jana Renaud, który w drodze zwierzał mu się, że zakochał się na śmierć w pewnej damie z kół ambasady a ona chociaż także, jak wie z pewnością, kocha go równie, zachowuje się jednak dość obojętnie względem niego.

Zresztą lubi Dżenanę bardzo. Twarzy jej wprawdzie nie widział, ale smukła jej postać i niebiański głos zakłócają mu sen. Andrzej przysłuchiwał mu się spokojnie. Był w takiem samem usposobieniu jak ten młodzieniec — za przyczyną czarownego powietrza. Byłby prawie miał ochotę wykrzyknąć z pewnym tryumfem: „otóż widzisz, młokosie, więcej jestem kochanym od ciebie!“...

XLI.

Wrzesień skończył się. Przez całe lato Andrzej i jego przyjaciółki nie mogli urządzać takich wspólnych przechadzek jak w roku poprzednim, ale umówili się, aby bądź co bądź za każdą cenę odbyć dwie wycieczki. Celem jednej — dnia 3 października — był lasek na wyżynie ponad doliną Beiko, owa zielonkowa miejscowość, którą odkryli w zeszłym roku. I istotnie wszyscy czworo zebrali się tam o oznaczonej godzinie nad małym stawem, pokrytym nenuferami. Jak przy dawniejszych odwiedzinach tego zacienionego ustronia, gdzie czuli się bezpiecznymi, rozsiedli się na omszałych głazach, ale wątek rozmowy rwał się. Andrzej zauważył zaraz, że przyjaciółki nie były w zwykłem usposobieniu, lecz nerwowe lub podniecone, każda na swój sposób: Dżenana zamknięta w lodowatem usposobieniu a Melek wzburzona i głośna.

— Teraz chcą nas znowu wydać za mąż wszystkie trzy! — mówiły, wzajemnie wyjmując sobie zdania z ust. — Chcą rozwiązać nasze powstańcze trio, twierdząc, że jesteśmy w obejściu o wiele za niezależne i trzeba nam mężów, którzy potrafią nas wziąść w ryzy.

— Co się mnie tyczy — ciągnęła Melek — rzecz została postanowioną na sobotniej radzie familijnej, na mego „pogromcę“ wybrano niejakiego Omar-bey‘a, kapitana jazdy, tak zwanego „pięknego mężczyznę“ z ostrem spojrzeniem. Bardzo wielką było łaską, że pewnego dnia pokazano mi go z okna... i tak interes ma wkrótce przyjść do skutku.

Przytem w gniewie wgniatała bucik w ziemię z odwróconemi oczyma i rozdzierała zwiędłe liście, które miała pod ręką. Andrzej nie wiedział co na to powiedzieć; spozierał na dwie drugie i chciał już zapytać najbliżej siebie siedzącą Zeynebę: „a ty?“, lecz obawiał się, iż zamiast odpowiedzi wskaże mu ze spojrzeniem cierpiącej istoty na swe piersi, i dlatego zwrócił się z tem pytaniem do Dżenany:

— O! Ja? — odparła z pewną wyniosłą obojętnością, którą przyswoiła sobie w ostatnich czasach. — Jest znowu o tem mowa, aby wydać mnie za Hamdi‘ego...

— Tak?... I cóż zrobisz?...

— Boże drogi... co mam zrobić?... Prawdopodobnie będę posłuszną. Jeźli mam wziąść męża, dlaczego nie jego, który raz już był mym mężem?... Hańba ta mniej będzie mi przykrą aniżeli z kimś zupełnie mi nieznanym.

Andrzej słuchał osłupiały ze zdziwienia. Czarny gęsty welon nie pozwalał mu spojrzeć w jej oczy tak, iż nie mógł zbadać o ile ta nagła rezygnacya jest szczerą a ile przymusową. Właściwie przyzwolenie jej na powrót do dawnego męża mogło być dla niego rzeczą najwięcej pożądaną, gdyż kładło kres stosunkowi bez rozwiązania, atoli po pierwsze zaledwie dawał temu wiarę a powtóre czuł, że zakończenie to zgotowałoby mu ogromną boleść.

(Ciąg dalszy nastąpi.)